

W NUMERZE:

J. P. SARTRE — Tworzymy pokój H. BORKOWSKA — Pokolenie przyszłą wiosnę niosące
A. LAM — Manowce i lekce września T. KOWALCZYK — O zmorach pijących krew
W. PALIK — Zagrożenie unicestwienia G. BIDWELL — Indie pełnią chwasty
A. TOESTOJ — Rosyjski charakter K. PAEYS — Sprawa jednej kępy
S. DZIECHCIARUK — J. R. Becher H. WANDOWSKI — Droga na ocean
B. CHOCHANOWICZ — „Dziadek” Kalinowski, Rek i Matuchowski

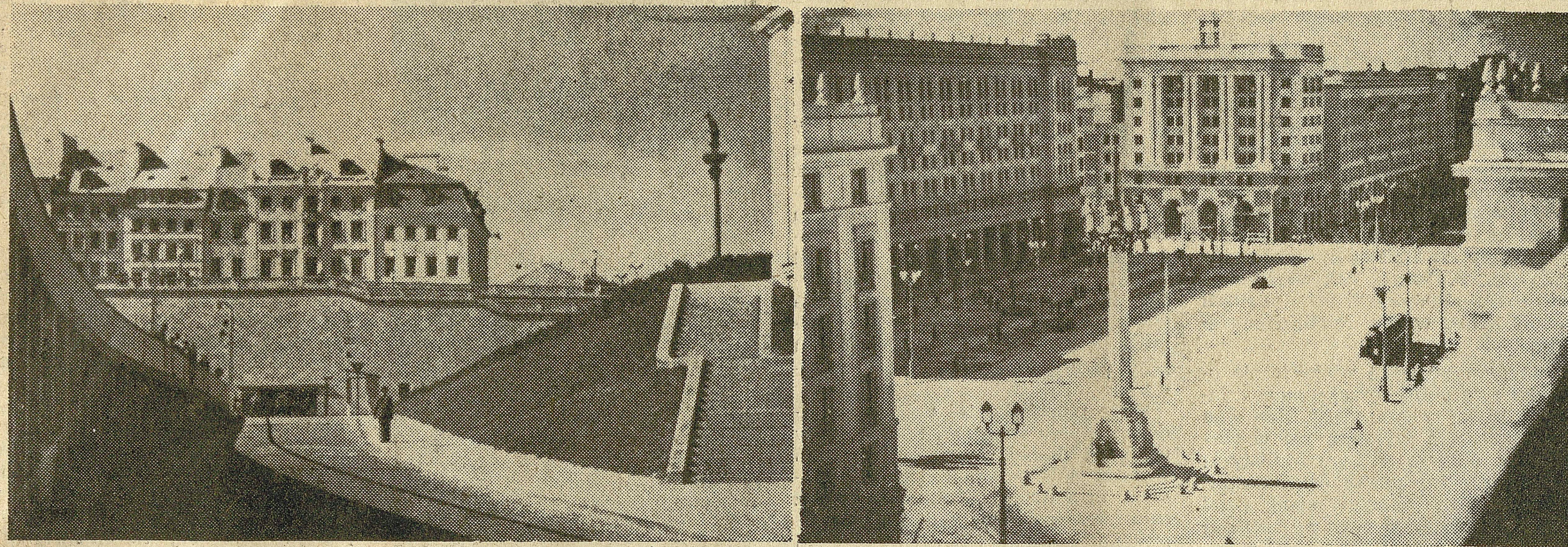
WIAS

tygodnik społeczno-literacki

Rok X

Warszawa, dn. 18 stycznia 1953 r.

Nr 3 (389)



WARSZAWO! SERCE NARODU I STOLICO PAŃSTWA

Cała Polska żyje dziś radością twego wyzwolenia. Krwią najlepszych twych synów nasiąkły two place i podziemia.

W ruinach legły twe najpiękniejsze, przez wszystkich uwielbiane gmachy, pomniki i ulice. Sprawili to nienawiść wroga i głupota wsteczników.

Dzisiaj wrócili ci wolność żołnierze polscy, sprzymierzeni z bratnią Armią Czerwoną, wyzwolicieli narodów uciśnionych.

Miłujący cię naród nie zapomni o tobie nigdy.

Przez wieki cześć będą pokolenia Polaków pamięć twych bohaterskich czynów i twardą wolę twojej walki o godność i niepodległość.

Zaś demokracja polska przywróci światłość tym kształtom i sławę swej stolicy utrwali w twórczym pochodzie ku sprawiedliwemu współżyciu narodów.

p. 18 stycznia 1945 r.

BOLESŁAW BIERUT

Prezydent Krajowej Rady Narodowej

LESŁAW BARTELSKI

19 STYCZNIA 1945 ROKU

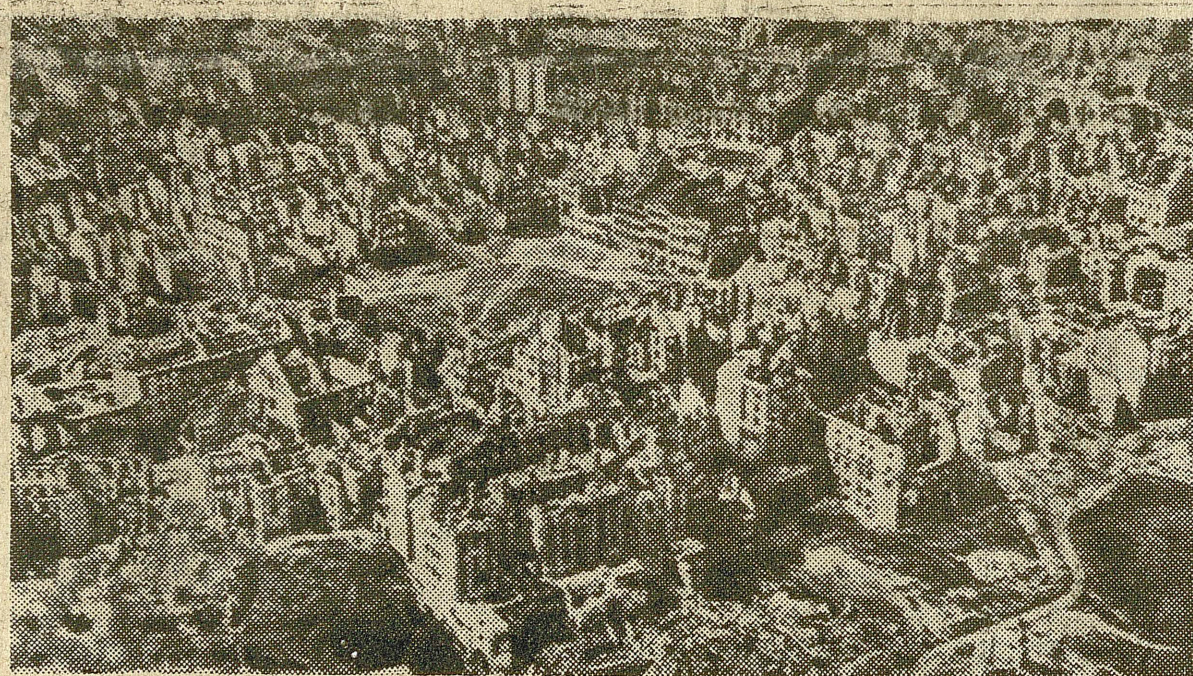
SAMOLOT pochylił się niżej na lewo skrzydło, miało w dole odbicie tuż nad głową. Przystąpił do lądowania. Jerzy Bednar, inżynier architekt, kapitan i Armii, odkomenderowany przez dowództwo do dyspozycji prezydenta stolicy, wychylił się przez burzę „kukuruźnika”. Mały sadek z rozsypanymi czerwonymi dachówkami i ciemnym lejem fundamentów przesunął się pod kołami samolotu; jeszcze parę potknięć na grudach, nieunikniony wstrząs przy zetknięciu z ziemią i nasilenie wiatru ustało. Zrobiła się cisza, niespodziewana, przez to samo zaskakująca. Chorąży odwrócił się, szarpnął okularami, odsuwając je na czoło. — To już — powiedział, wskazując ręką. Betonowane pole startowe zgniecione było bombami, strzaskane hangary leżały nisko, przy ziemi.

Bednar przerzucając nogi przez burtę pośpiesznie wysiadł z samolotu, uważając, aby nie poślizgnąć się na oblodzonym płótnie skrzydeł. Piekła go twarz, zakrzępiła na mrozie, jakby napuchła, sina w obramowaniu skózanego hełmu. Przenikały go dreszcze, pragnął znaleźć się jak najszybciej w cieple. Widział tylko usta mówiącego: zsiniałe, splecione wargi ukazujące w rozchyleniu mocne twarde zęby. Nie rozumiał, co mówił do niego chorąży, dochodziły go pojedyncze słowa. Uwagę jego zaprzętnął Willis, który ukazał się zza ruin, z dyktową budą, dorobioną na karozerii, pomalowaną na biało.

— Nie uważacie, mroź? — porucznik, wysiadłszy z głębi budy, nasunął koinierz, naciągając na uszy wojskową czapkę, podbiła rankowym futerkiem. Pilot przytupywał na śniegu i zdjąwszy rekawice, rozciął zgrabnie dionie. Bednar stał z boku, starając się rozpoznać znany sobie sprzed wojny pejzaż. Wieży, zdala widocznej, określającej miejsce położenia warszawskiego lotniska, nie było, kawałki żelbetu, ciśnie w wybuchem, rozprysły się wokół jak stuczone szkło.

— Pojedziemy? — porucznik chodził tam i z powrotem, szurając nogami. Nosił brezentowe cholewy i kawalerski płaszcz, po ziemie. Bednar w milczeniu ścisnął rękę pilota. Porucznik nagabywał bowiem do odjazdu, zerwał się wiatr, podrywając się ostrymi biciami podmuchów z płaskiej równiny.

— Zajedziecie wpierw do nas — zaproponował oficer. — Potem do miasta — próbował uśmiechnąć się ironicznie, zamiast uśmiechu wyszedł grymas. Bednar skinął głową. Teraz, gdy był już tutaj, rzeczywistość nie wydawała się tak odległą, jak tam — za Wisłą. Nie miał jednak odwagi powziąć decyzji, wydzierającej mu strzępy nadziei. Wolał opóźnić po-



wrót, choć, jak każdy z nas, powracający zimą 1945 r. wierzył, że spośród setek zniszczonych domów ostał się jeden — nam najbliższy.

Podjechali pod domek, stojący nieco na uboczu, o dachu uszkodzonym i wybitych szybach, na których miejsce wstawiono deski i kawałki papy. Porucznik nachyliwszy się ku soferowi powiedział coś do niego i z kolei zapraszał Bednara, powtarzając. — Ogrzejcie się, kapitanie, trochę? Chyba zmarzliście, tam, w górce...

Spalone dokoła zabudowania, o murach niskich, parterowych, pokrywał śnieg, przemieszany z popiołem. Bednar szczerzył zębami, nie mogąc wymówić ani słowa. Wszedł do mieszkanek na parterze, ciemnego, przesmerdniałego zapachem potu ludzkiego i gryzącej woni dymu. W rogu, pod ścianą, spali na słomie żołnierze, otuleni płaszczami i kocami, narzuconymi na głowy. Przez niewielką szybę, wprawioną wysoko, niemal przy pułapie, padało światło. Pośrodku pokoju stała „koza”, poczerwieniała od gorąca rura dudniła głośno, płomień pełzał po gałkach wystających przez szpary fajerek.

— Ruiny. Same ruiny — powtórzył głucho Bednar. Dano mu szklankę herbaty, parzącej wargi. Żołnierze, o zapadniętych twarzach, z krwistymi wypiekami od ciepła, nie patrzyli na siebie, skupieni przy piecyku. — Ruiny — szeptał Bednar, małymi tykami popijając zmętniały płyn. Patrzono na niego nieprzychylnie, żołnierze pospuszczali głowy. Jeden z nich, z mroku, gdzie nie można dostrzec twarzy, szepnął. — Pućka!

Porucznik spytał nieprzyjaźnie. — Praszę macie? Odebrał z rąk gościa egzemplarz „Głosu Ludu”, wymięty i porozdzierany, przebiegi oczyma po pierwszej kolumnie i zatrzymał się przy komunikacie: PIERWSZE WIEŚCI Z WARSZAWY. Przeczytał go głośno, oddzielając zdanie od zdania z widocznym wysiłkiem. Dziennik podawał co następuje:

„Warszawa (Polpress). 17.1.1945. Na wiadomość o uwolnieniu Warszawy, praski korespondent Polpressu natychmiast wyruszył do Warszawy. Wszystkie mosty na Wiśle zostały wysadzone. Centrum Warszawy przedstawia obraz strasznego zni-

szczenia. Nie ma prawie ani jednego całego domu. Sterczą tylko szkielety budowli i wznoszą się wielkie kopce gruzu.

Wojsko szybko zaprowadza porządek w Warszawie. Odbija się na prawach mostów i zakładanie telefonów. Panuje ożywiony ruch wojskowy, przeciągają czołgi.

Według niesprawdzonych jeszcze relacji na Ochocie i Mokotowie znajduje się ludność cywilna.

Oficer złożył gazetę z wyrazem pewnego zawodu na twarzy i chciał ją oddać Bednarowi. Kapitan trzymał dłoń nad piecykiem, jeden z żołnierzy łamał gałkę i wkładał je ostrożnie pomiędzy płomienie.

— Zatrzymajcie sobie — odpowiedział Bednar, pochylając się nad ogniem. — Mnie niepotrzebna. Znam już. Ruiny — dodał. Z jego słów nie wypływało nic, co można podciągnąć pod określenie życia. Przypuszczał, że jakimś sposobem, jeden z żołnierzy łamał gałkę i wkładał je ostrożnie pomiędzy płomienie.

— Trzeba jechać — rozstrzygnął porucznik, gdyż milczenie przeciągało się. Sofer poruszył się, z niechęcią wstając ze słomy, która zaszeleściła i zaczęła nakładać rekawice.

Zanim kierowca zapalił ostygly motor, Bednar wpatrywał się w profil miasta, szarzejący w oddali, niczym masyw skelny, pełen pęknięć i załamów. Nie bez uczucia wewnętrznej lekceważącości patrzył na powrocie. To, co jeszcze niedawno wydawało się kresem wędrówki, zrądzieniem losu stało się teraz jej początkiem.

Samochód szarpnął, podskakując na bruku. Jechali podzwaniając łańcuchami, w bankach chlupotała benzyna. Szybła zamarzła i żołnierz co chwila zwalniał bieg, obcierając ją gałganem. Weiskał się mroźny wiatr i Bednar ściślej zwracał nogami poły wojskowego płaszcza. Prosta droga równa sięgała po rozbitie miasto.

Niskie garby wałów poportecznych załamały się, tworząc kotlinkę, którą przedarła się szosa.

Miasto zbliżało się, domy rosły, wypełniały się szczytami. Bednar poprzecz brudną i zamarzniętą szybę wpatrywał — znajomych sobie ulic.

Willis wjeżdżał w dzielnicę mającą pozory nieknieję zniszczeniem. Wysokie parapiętrów kamienice zadziwiała świeżością fasad, lecz ślepe wypalone okna przebiegały niebem, jasnym jak kryształ. Pół ściany, rozprutej bombą, wydarło z wnętrza legary i deski podłogowe. Skawalone bryły gruzu leżały na nawierzchni, opony zgrzytały na szkle i wóz pochylił się raptownie wpadając w lej. Bednar chwycił kierownicę za ramię. — Przedziej, przedziej! Niepokój zaciskał gardło, natrętny i nieustępliwy. Kapitan mimo wszystko wierzył, że jeszcze nie jest za późno. Willis gwałtownie wjechał w ulicę Wawelską; drzewa na Polu Mokotowskim migły czerniejącymi koronami, dymy nad Mokotowem rozmazywały się, pędzone wiatrem. Przy alei Niepodległości sofer przyhamował jakby wahając się i skręcił w lewo, za szpitalem, wielkim szarym pudłem i przyległymi doń czerwonymi budynkami znowu odsłoniła się przestrzeń, odbijająca się w mglisto osadzonym między chmurami słońcu. Czarnymi punkcikami na białym tle migotały sylwetki powracających, skurczone pod ciężarem tobołów.

Wjechał w śródmieście splekane jak skała. Motor drgał pełnymi obrotami, chłodnicę otaczał wiatr obłoczek pary. Ulica Lwowska, której perspektywę zaciętnie ruiny, błysnęły całym szczytami i choć nie było na niej ludzi, nosiła cechy zamieszkania. Jedyną niską barykadą, rozrzuconą, oczyszczoną pośrodku jezdni świadczyła o minionym. Wóz chwiał się na wybojach, sofer pytał spojrzał na kapitana. — Tak, tedy jedźcie — ponaglił Bednar. Pojechali ulicą Śniadeckich. Marszałkowska, ciągnąca się naprzeczek jak dolina w górach, ukazywała pełnię zniszczenia, mimo że część domów pozostała nieknieję; rozkopane chodniki, tunele podziemne jak nory krecie, barykady, na które runęły ściany, wielkie kałuże ścięte w lodowe płyty wydobływały z niedgdy ludnej ulicy grody milczenia. Przy Kruczej Bednar pochylił głowę, przeczytawszy napis: UWAGA! OBSTRZAŁ! Na skrzyżowaniu z Mokotowską sofer przystanął, nie wiedział kądby jechać. — Prosto. Potem w lewo — krzyknął kapitan, gdy ruszył. Jeszcze parę podrutów rozkołysanych na wybojach resorów i skręcił w aleję Ujazdowskie. — Przedziej — syknął Bednar przez zaciśnięte zęby, drząc febrycznie. Czekal na tę chwilę pięć długich lat. — Przedziej!

Gdy podjeżdżał pod dom, widoczny z dala, o czeropiętrowej elewacji, gładkiej jak owoc, nieporętej pociskami, Bednar odetchnął. Wysoczył z samochodu i wbiegł w bramę.

W cieniu spalonej oficyny, jak na dnie jamy, stał posąg tancerki z brązu, odchylonej z lekka do tyłu, w zdziwnej pozie, z obnażonym torssem. Jej usta, trafione odłamkiem granatu, rozwarły się jak do krzyku.

Lesław Bartelski

29 ROCZNICA ŚMIERCI LENINA



MIKOŁAJ TICHONOW

* * *

Minęło wiele długich lat,
Kiedy w okrutnej zawierusze
Na zawsze zgasił oczy świat,
Które zdołały przyszość ujrzeć.

W zenicie słońca błądzą zrab
Okrył się mgłą wieczornych cieni
I styszelśmy — dzwonił w krag
Mróz nad zastygłą, twardą ziemią.

Zdało się — życia zmarły dni,
Nad światem skrzydła rozpiął smutek,
Cichaczem w zamroczeniu łą
W krtań podpyływały bólem skutą.

I czekaliśmy tłumiąc płacz,
Serca w milczącym stygły żalu.
Przysięga — zawsze wiernie trwać —
Za wszystkich odpowiedział Stalin.

Ponad ojczyzną całą znów
Niebo nurzyło się w błękitcie.
Rodziła się z przysięgi słów
Przyszłość trwałego jak wiek życia.

tłumaczył
Władysław Odojewski

„...wolność Polski jest niemożliwa bez wolności Rosji... Bez zwycięstwa proletariatu i rewolucyjnego chłopstwa w Rosji śmiesz-
nym jest mówić o prawdziwej niezawisłości Polski...”

LENIN (1908)

Dzieła, wyd. ros. 4, t. 15, str. 241/2

*

JESLI pominąć dyskusje w latach 1905 — 1906, to zagadnienie budownictwa socjalizmu w jednym kraju zostało postawione w partii po raz pierwszy podczas wojny imperialistycznej w 1915 roku. Wiadomo, że Lenin po raz pierwszy sformułował wtedy twierdzenie o „możliwości zwycięstwa socjalizmu” początkowo „w jednym z osobna wziętym kraju kapitalistycznym” (patrz t. XVIII, str. 232). Był to okres zwrotu od rewolucji burżuazjno-demokratycznej do rewolucji socjalistycznej. Wiadomo, że Trocki od razu zakwestionował wtedy to twierdzenie Lenina, oświadczając: „beznadziejnie byłoby sadzić... że na przykład rewolucyjna Rosja mogłaby się ostać w obliczu konserwatywnej Europy” (patrz t. III, dzieł Trockiego, cz. I, str. 90).

W 1921 roku, po Rewolucji Październikowej i wojnie domowej, kiedy zagadnienia budownictwa stały na porządku dziennym, zagadnienie budowy socjalizmu znów wypływa w partii. Był to okres, kiedy zwrot do „nowej polityki ekonomicznej” oceniany był przez niektórych towarzyszy jako odejście od socjalistycznych zadań, jako odejście od socjalistycznego budownictwa. Wiadomo, że Lenin w swojej broszurze „O podatku żywnościowym” określił wtedy zwrot ku „nowej polityce ekonomicznej” jako niezbędny warunek spójni przemysłu z gospodarką chłopską, jako warunek zbudowania fundamentu ekonomiki socjalistycznej, jako drogę do skutecznego budownictwa socjalizmu. Było to w kwietniu 1921 roku. Jak gdyby w odpowiedzi na to, Trocki w styczniu 1922 roku, w przedmowie do swojej książki „Rok 1905”, wysuwa całkowicie przeciwną twierdzenie w sprawie budownictwa socjalistycznego w naszym kraju, oświadczając, że „sprzeczności sytuacji rządu robotniczego w zafanym kraju z przytłaczającą większością ludności chłopskiej będą mogły znaleźć rozwiązanie jedynie w skali międzynarodowej, na arenie światowej rewolucji proletariatu”.

W rok później (1922 roku) znów przeciwstawiają się sobie nawzajem — oświadczenie Lenina na plenum Moskiewskiej Rady Miejskiej, że „z Rosji niepowstanie socjalizm”, i oświadczenie Trockiego w posłowie do „Programu pokoju”, że „rzeczywisty rozwój gospodarki socjalistycznej w Rosji stanie się możliwy jedynie po zwycięstwie proletariatu w głównych krajach Europy”.

Wreszcie, znów po roku, niedługo przed swoją śmiercią Lenin ponownie wraca do tego zagadnienia w artykule „O spółdzielczości” (maj 1923 r.), oświadczając, że w Związku Radzieckim mamy „wszystko, co jest niezbędne do zbudowania społeczeństwa całkowicie socjalistycznego”.

Taka jest krótka historia zagadnienia. Już z tej informacji historycznej widać, że problem budownictwa socjalizmu w naszym kraju jest jednym z najważniejszych problemów naszej praktyki partyjnej. Nie trzeba chyba dowodzić, że Lenin nie powracał do niego wielokrotnie, gdyby nie uważał go za jedno z najważniejszych zagadnień naszej praktyki.

JOZEF STALIN

Przemówienie na Uniwersytecie Im. Świdłowskiego

1 czerwca 1925 r.

GEORGE BIDWELL

INDIE PLENIA, CHWASTY



Saifuddin Kichlew

W ALKA o niepodległość i walka o pokój są niepodzielne całością. Ta prawda jest tak oczywista, że stała się aż bolesna. Jej światłemu wyrazem, jej połączeniem w jedną osobę jest znakomity działacz hinduski dr Saifuddin Kichlew, pierwszy spośród przedstawicieli narodów Indii, który otrzymał Stalinowską Nagrodę Pokoju. Dr Kichlew od lat walczył w szeregach ruchu wyzwolenia ludu hinduskiego i znany jest w całej Azji ze swej niezłomnej walki przeciw agresji U.S.A. na Korei i przeciwko polityce Waszyngtonu zmierzającej do odrodzenia japońskiego imperializmu. Nic więc dziwnego, że stał się również czynnym działaczem ruchu pokoju. W ruchu tym reprezentuje rządzących dziś w Indiach stronnictwo Kongresu Narodowego, co raz jeszcze potwierdza prawdę, że pokój jest celem, który łączy ludzi różnych poglądów i różnych partii.

Dr Kichlew stoi na czele Indyjskiej Rady Pokoju, która pod jego przewodnictwem zdobyła olbrzymi wpływ na społeczeństwo. Sekretarz generalny Rady Romesh Chandra ogłasza co tydzień artykuły na temat pokoju w dwudziestu wielkich dziennikach. W całym kraju odbywają się regularne zebrania gromadzące od kilkudziesięciu ludzi w zapadłych wioskach do dziesiątków tysięcy w wielkich miastach. Akcja zbierania podpisów na protesty przeciw wojnie bakteriologicznej i na Apelu o Pakt Pokoju pięciu wielkich mocarstw dała ogromne wyniki. Ludność powszechnie i słusznie wiąże istnienie groźby wojny z głodem raz po raz uderzającym w Indie. Wśród działaczy zbierających podpisy dla przykładów wymienić można Bibi Dajit Kaur, typową kobietę hinduską, która zebrała 60.000 podpisów, dziennikarza Raj Kumar Surajbansi oraz dwóch studentów Santosha Dasa i Dhanwanta Singha, z których każdy zebrał po 40.000 podpisów.

Delegacja hinduska na Kongres Pokoju w Pekinie obejmowała 53 osoby, w tym licznie kilku członków parlamentu, bliskich przyjaciół premiera Nehru, wybitnych ułóżców Ghandiego, przemysłowców, duchownych, pisarzy, uczonych, artystów i oczywiście przywódców robotniczych.

Wagę tych faktów rozpatrywać trzeba na tle represji, jakie spadają na ruch pokój w Indiach ze strony reakcyjnego rządu Nehru. Gdy policja zdziera plakaty i aresztuje rozlepiających je robotników, a jej agenci usiłują zrywać zebrania, gdy wzorem amerykańskim, działaczom pokoju odbiera się swobodę ruchów, a nawet pod byle pretekstem wtraca ich do więzień — akcja na rzecz pokoju wymaga wielkiej odwagi cywilnej, ofiarności i wyrobień obywatelskiego. Równie wielkiej i równie wytrwałej jak odwieczne dążenie do wyzwolenia się z obcego jarzma.

Walka ludu hinduskiego o pokój wiąże się z wyrażaniem z jego walki o niepodległość toczącej się od stuleci. Olbrzymie możliwości rynku hinduskiego, nieprzebrane bogactwa i zasoby olbrzymiego kraju, ciągnące go się od śnieżnych szczytów Himalajów, po żyzną dolinę Gangesu, od nieprzebytej dzungli po jałową wyżynę Dekanu, od wieków ciągnęły jak magnes awanturników i kupców Zachodu. W połowie XVIII w. rozpoczęła się rozstrzygająca bitwa o prawo wyszku Indii między brytyjskimi a francuskimi kompaniami handlowymi. Wziętych brytyjskich natrafili wówczas na próby oporu ze strony miejscowych książąt, którzy nie chcieli dzielić się z obcymi swą pozycją wyzyskiwaczy własnego ludu. Niezgrany ten opór zgniół ostatecznie osławiony twórca imperium brytyjskiego w Indiach Robert Clive wygrywając zreszczenie jednych książąt przeciw drugim i podporządkowując ich wszystkich swej władzy. Clive rozpoczął karierę jako podrzędny kanclista, a wrócił do Anglii z milionową fortuną w złocie i klejnotach i jako właściciel olbrzymich, dochodowych posiadłości w Indiach. Brytyjska klasa rządząca, której zapewnił bezkarny rabunek milionów, nagrodziła go najwyższymi orderami i tytułem barona.

Był to jednak dopiero początek brytyjskiej eksploatacji Indii. Od tam rozpoczęło się nieprzerwane wywożenie złota i innych bogactw służących następnie do rozbudowy przemysłu angielskiego. W samych Indiach zniszczono wielką na owe czasy produkcję najlepszych w świecie wyrobów bawełnianych i zniszczono rzemiosła, by zalać Indie tanimi wyrobami angielskimi z indyjskiej bawełny. Przeszło sto lat temu

dr Bowling mówił w parlamencie brytyjskim o „nędzy tkaczy hinduskich skazanych dostawnie na głód i setkami wymierających z głodu, podczas gdy całkowicie upadła produkcja słynnych na cały świat muslinów Dacca...”

Równocześnie obciążono ludność Indii wysokimi podatkami na pokrycie ceny „dobrodrojeństw” rządów brytyjskich. Gdy brakło gotówki porybory konfiskowali ziemię, a dla uzyskania zeznań podatkowych systematycznie uciekali się do chłosty. Chłop hinduski musiał płacić nie ludzkie czynsze, a wytwór swej pracy dostarczać na nowopowstałe rynki kapitalistyczne w postaci dostaw taniego surowca dla brytyjskiego przemysłu, który ciągnął stąd olbrzymie zyski i budował „dobrobyt, szczęśliwość i wspaniałość” wiktoriańskiej Anglii. Produkcja żywności w Indiach spadała zastraszając, a głód stał się zjawiskiem stałym.

Kazali wam płacić za chleb
Za niebo ziemię wodę i sen
Za całą nędzę
Waszego życia

pisał Eluard do ludu hiszpańskiego. Ta sama, tylko niepoimierne wielokrotniona tragedia, zrodzona z tej samej kapitalistycznej przyczyny, była i jest udziałem czterystu milionów ludności Indii. Ale nędza życia była nie tylko źródłem niezmiernych zysków, płynących do skarbców londyńskiej City. Była także zarysem walki.

Pod naciskiem woli narodów Indii rząd brytyjski ogłosił w 1947 r. niepodległość kraju. Dla zapewnienia sobie nadal panowania przy pomocy osławionej zasady „Divide et impera” (dziel i rządź) podzielono szereg prowincji tak, by wykreślić z nich odrębne państwo pod nazwą Pakistanu (w dalszym ciągu mowa będzie o pozostałej części subkontynentu). Burżuazji indyjskiej ofiarowano pewien udział w wyszku szerokich mas i w ten sposób skłoniłono Partię Kongresową Ghandiego do zawarcia sojuszu z książętami — 585 marionetkami brytyjskimi, które strachem utrzymują ludność w posłuszeństwie. Gdy Pandit Nehru i Partia Kongresowa ogłosili niepodległość i kres rządów brytyjskich, lub oczekiwał wielkich zmian, a w szczególności przejęcia brytyjskich ziem w Indiach. Pamiętano bowiem dobrze słowa prezydenta USA, Wilsona: „Krajem władza kapitalu, jaki jest w nim zainwestowany. Jest rzeczą niewątpliwą, że w miarę jak kapitał zagraniczny napływa i obejmuje kraj, równocześnie napływają i obejmują kraj wpływy zagraniczne. Tak więc procesy ruchów kapitału są procesami podboju”.

Prem Sagar Gupta oblicza („Foreign Capital in India” Bombay, 1952), że w ręku kapitału zagranicznego znajduje się dziś ponad 45% ogółu inwestycji w Indiach. Kapitał obcy kontroluje bez reszty produkcję juty, bawełny, węgla i ropy, przemysł żelazny i stalowy, hutnictwo, elektryczność i transport okrętowy oraz plantacje kawy i herbaty. W niektórych przedsiębiorstwach kapitał zagraniczny stanowi 60 — 90%. Londyński „Financial Times” stwierdza, że chociaż kapitał bry-

tyjski w Indiach stracił początkowo głowę w obliczu przemian politycznych, później jednak zdołał ustabilizować swoją pozycję. Według danych Indyjskiego Banku Emisyjnego przedsiębiorstwa brytyjskie kontrolują w 90% handel zagraniczny Indii.

Kapitał brytyjski postawił sobie za cel utrzymanie Indii w roli dostawcy surowców i rynku dla angielskich wyrobów przemysłowych. To też ani sam nie przedsięwziął, ani nie dopuszczał do powstania w Indiach jakiegokolwiek gałęzi ciężkiego przemysłu i w tym kierunku sprawował kontrolę nad bankowością i systemem kredytowym kraju. W rezultacie tak pomyślana niepodległość nie zapewniła rozwoju, lecz powodowała zastój i dalszy upadek.

W roku 1933 Pandit Nehru pisał: „Gdyby miejsce rządu cudzoziemskiego zajął rząd krajowy, ale pozostał niekierunek obce inwestycje, nie dałoby to Indiom nawet cienia wolności”. A jednak tak właśnie po ogłoszeniu „niepodległości” postąpił Pandit Nehru wraz z Partią Kongresową.

Obecny rząd Indii wielokrotnie określał swą politykę zagraniczną jako „politykę neutralności”. Rzekoma ta neutralność wyrażała się w zerwaniu z obozem antyimperialistycznym, z którym nacjonalizm hinduski poprzednio sympatyzował. Rząd Indii jest dzisiaj w ręku najbardziej reakcyjnych czynników kraju związanych z blokiem anglo-amerykańskim. W kwietniu 1948 r. Nehru zarządził, by „na wszelkich uroczystościach grano „God save the King” (hymn angielski), a potem hymn indyjski”. Ta kolejność jest dokładnym wyrazem stosunków politycznych w Indiach.



Charakterystyczna jest polityka „Waszyngtonu”. W zamiarze stopniowego wyparcia z Indii imperializmu brytyjskiego skłoniłono Nehru do wyrażenia zgody na inwestycje amerykańskie. Szybko też popłynęły kapitały z Wall Street, a równocześnie przybyli w znacznej liczbie amerykańscy „eksperti techniczni”, którzy zadanie ujawnił Acheson oświadczając, że ich celem jest poszukiwanie i opanowywanie źródeł surowców, których brak odczuwa Ameryka, a także zdobywanie rynków dla produkcji USA. Atak na Indie toczy się wieloplanowo. Na łamach znanego tygodnika „Satur-

day Review” niejaki prof. W. L. Werner kreśli program narzucenia narodom Indii języka angielskiego. Werner stwierdza, że przyjdzie to nie bez walki, gdyż Indie „nabrały wstrętu dla języka swych byłych władców”. Toteż „naszym pierwszym zadaniem jest dostarczenie tam taniach amerykańskich książek, tak, by Hindusi czytając po angielsku chłonili demokratyczne (sic!) idee amerykańskie”. Cel tej ofensywy jest aż nadto przejrzysty.

Popularność radzieckich zasad planowania gospodarczego zmusiła rząd Nehru do wystąpienia z własnym planem pięcioletnim. Założeniem jest tu napływ kapitałów amerykańskich, a więc dalsze oddanie warendę niepodległości Indii. W związku z tym Nehru wywrzelił się myśli o nacjonalizacji, odrzucając wniosek Hirendranath Mukerjee, komunistycznego członka parlamentu Indii, aby zamiast zamierzonej pożyczki milarda dolarów z Wall Street przejąć majątek Nizama Hyderabadu, najbogatszego człowieka świata. Jeden z przedstawicieli opozycji określił plan pięcioletni Nehru jako zdradę wszelkich nadziei narodu.

Opór przeciwko tej polityce zdrady, zafacania i nędzy i opór przeciw uciskowi imperializmu w Indiach wzrasta z każdym dniem. Jaskrawym tego dowodem jest fakt, że z ostatnich wyborów Partia Komunistyczna wyszła jako druga z kolei najsilniejsza partia w kraju i wraz z szeregiem innych przedstawicieli postępu tworzy obecnie potężną opozycję w parlamencie. Dążenie do prawdziwej niepodległości własnej wywołuje żywe zrozumienie i sympatię dla walk wyzwoleniczych innych narodów kolonialnych oraz głębokie uczucia przyjaźni dla Związku Rad i Chińskiej Republiki Ludowej. Wyrazem tego było stanowcze żądanie wyparcia imperializmu z Azji i położenia kresu wszelkim wojnom toczącym się w krajach azjatyckich — żądanie postawione przez dr Saifuddina Kichlewa na Kongresie Pekinjskim.

Przed kilku tygodniami pod naciskiem Partii Komunistycznej i ludu hinduskiego osiągnięto wielkie zwycięstwo, gdy rząd musiał ogłosić zapowiedź utworzenia autonomicznego państwa Audhra. Było to uwięczenie wielu lat wytrwałej walki o niezawisłość ludów języka Telegu. W parlamencie nowego państwa komuniści stanowili będą większość mając 47 członków, gdy Partia Kongresowa ma ich 39, a pozostałe stronnictwa należą do opozycji przeciw polityce rządu centralnego.

Zadania, jakie stoją przed narodem Indii nie są łatwe. Ale przedstawiciele postępu gromadzą siły dla nowych akcji, pewni przyszłego zwycięstwa ruchu wyzwolenia narodu i społecznego, ruchu w którym dr Kichlew jest jedną z czołowych postaci. „Gdy czterysta milionów ludzi — pisze Hirendranath Mukerjee — zdobędzie wreszcie wolność — wyrwą z korzeniami kłaki i chwasty zasiane wśród naszych złościach pól i zwolają wszystkie narody świata na piękny i radosny obchód żniwa wolności”.

„Podobnie jak sercu matki przyrodzona jest miłość do dziecka, tak pokój powinien być główną cechą

stosunków międzyludzkich i między narodowych”. W tych słowach delegata Indii na Kongres Wiedeński, dr Kumarappa brzmi humanizm wspaniały i starożytnej kultury tego kraju. Ale brzmi też wysoko rozwinięta świadomość społeczna i głębokie poczucie internacionalizmu. Ow internationalizm płynie z przeświadczenia, że tylko w oparciu o



kraje socjalizmu i ruchy postępowe całego świata, tylko w przymierzu z proletariatem wszystkich krajów i pod jego przewodem Indie mogą zdobyć prawdziwą niepodległość, a ich narody wyzwolenie społeczne. Burżuazja hinduska, przerażona potęgą ruchów socjalnych, rzuciła się w objęcia reakcji i militarizmu, przeszła do obozu żerujących na wojnie monopolu. Stąd silny akcent społeczny ruchu pokoju w Indiach, stąd jego żarliwe dążenie do zacieśnienia węzłów przyjaźni z obozem socjalizmu, a przede wszystkim z narodami Związku Radzieckiego.

„Hindusi kochają naród radziecki — mówił Saifuddin Kichlew. — Niech nasza miłość rośnie i krzepnie. Jestem pewien, że przyznanie Stalinowskiej Nagrody Pokoju Hindusowi przyczyni się ogromnie do szybkiego rozwoju ruchu pokojowego w Indiach”.

ZSR, pokój, miłość i przyjaźń

narodów — ten ciąg myślowy jest odbiciem najgłębszych uczuć szerokiej mas ludu hinduskiego. Pełnym ich wyrazem były słowa wypowiedziane przez dr Kichlewa w chwili, gdy w obecności ambasadora Indii otrzymywał na Kremlu dyplom i złotą odznakę laureata: „Pragnę oświadczyć z tej historycznej trybuny, że żadna siła na świecie nie zdoła zmusić narodu hinduskiego do bezpośredniego, czy pośredniego udziału w jakiegokolwiek wojnie przeciw Związkowi Rad”.

George Bidwell

JEAN-PAUL SARTRE

Tworzymy Pokój!

Jean-Paul Sartre, jeden z czołowych pisarzy francuskich, bardzo odważnie szedł do obozu pokoju. Nigdy go prawda nie zwiła sym-pati dla imperializmu i reakcji, lecz jego „neutralizm” polityczny i doprowadzona do krańcowości ucieczka od życia były z rzędu tych nagminnych w kulturze burżuazyjnej zjawisk, które rozbrajały i ułatwiały narastanie faszyzmu. Z wolny i okupacji wyniósł świadomość, że maże w skurpie słazane są na zagładę. Ale skrajny indywidualista szukał rozwiązań na biednych tropach ludzkiej miłości, zrozumiem, że nie jednostki, ale narody są siłą wazącą w historii. Głosny artykuł „Komuniści a pokój” (październik 1948) był pełnym zwycięstwem. Sartre wyjechał do Wiednia i wziął czynny udział w Kongresie Narodów. Po powrocie, na wielkim wiecu w Paryżu wygłosił mowę, której ton główny jest dramatyczny: przestroga dla wszystkich, którzy wciąż jeszcze usiłują uprawiać „neutralność”.

JEDEN z korespondentów prasy reakcyjnej, jeden z owych niezliczonych spryrczy, doświadczonek, kutych na cztery nogi, skoczył stwierdzeniem w swoim dzienniku, że kongres był „dość niezwykły”.

Ja nazwałbym go po prostu „niezwykłym”. Gdyż to, co oglądałem w Wiedniu, w tym olbrzymim gmachu o wnętrzu całym z błękitu, to był POKÓJ. Nie tylko daliśmy wyraz nocy naszych rządów naszej woli pokoju — myśmy tworzyli pokój. Przejrzeliśmy doświadczenie jedynę i niezrozumane przyjaźni między ludźmi. Francuzi i Vietnamczycy, Chińczycy i Amerykanie, mogli się spotykać, rozmawiać, uśmiechać do siebie nie zdradzając swych krajów, nie zapominając o toczących się wojnach i cierpieniach ludów. A jeśli w Wiedniu obecna była nadzieja, to dlatego, że ujrzyliśmy nagle czym mogłby być pokój i czym nigdy nie był: z g o d a.

Kongres Wiedeński? — mówi jeden z dziennikarzy. — No tak, dużo tam mówiono. Kilka osób dało wod swoję niezależność; ale w końcu, co tam zrobiono? Uchwalono wnioski radzieckie, powzięto rezolucje ogólnikowe i znane z góry.

Otóż to jest kłamstwo o naj-większe. Nie dotyczy szczegółów, zniekształca całość wydarzenia.

Dlaczego sprowadzać Kongres do rezolucji? A czyż jest niczym porozumienie, osiągnięte stopniowo, a które w ostatnim dniu wyraziło się frenetycznym entuzjazmem? Czyż niczym jest potwierdzenie raz jeszcze wola dalszej walki, ta świadomość ogólnoludzką, powiedziałbym, odpowiedzialność każdego? Doświadczenie jedności, spotkania — Olbrzymia praca zachłaniająca pokój świata dokonana w ciągu tygodnia.

A same rezolucje? To prawda, mogłymi być napisane pierwszego dnia, podpisać nawet we Francji przed wyjazdem Czego to dowodzi? Ze wyrażają radziecki punkt widzenia? Nie — ale że są niezmiernie ludzkie i nikt nie może ich odrzucić, kto ma dobrą wolę! A jeśli to jest radziecki punkt widzenia — a sądzę, że tak jest — tym lepiej. Świadczy to bowiem, że Związek Radziecki chce prawdziwego Pokoju.

Ogólnikowe, mówicie? To znaczy, żeście ich nie rozumieli. Myślicie, że ścisłość to drobiazgowo studiowanie map przez dyplomatów. Nie sprzeciwiamy się by dyplomaci regulowali sprawy dyplomatyczne. Ale tu chodzi o co innego, o prawdy doskonałe ściśle a wielkie i proste. O prawdy nie techniczne, ale ludów, prawdy które rodzi sama sytuacja, rodzi myśl tych, co cierpią, prawdy które mają prostotę przystość.

Oto w czym się wyraża myśl powszechności: jak długo się biją — biją się a nie rozmawiają. Jeśli chcecie rozmawiać, przestańcie się bić.

„Już tak było, a wynik...” Dobrze, mówią narody, zaczniemy jeszcze raz.

Każdy z Pięciu Wielkich mówi o pokoju. Trzeba ich przyprzeć do muru: niech zobowiązują się nigdy nie rozwijazować żadnych spraw siłą oręza.

To pakt Briand - Kelloga, mówicie? Nic mnie to nie obchodzi. To przede wszystkim pierwsza i jasna rzecz powiedziana od 1945 r. A oznacza po prostu: jeśli chcecie pokoju, dajcie tego dowód.

Dzielnictwo, mówi dziennikarz — neutralista, co mnie obchodzi, że czeski szewc spotkał się z sycylijskim listonoszem. Ja chcę, aby Schuman spotkał się z Molotowem. To byłoby poważne.

Odpowiadam: a jak zmusić pańskiego Schumana, by spotkał Molotowa? Czy ogłaszając głodówkę, jak Ghandi? Jak stosować naszą własną politykę neutralizacji, jeśli nie zażądają tego narody, jeśli naród francuski nie zjednoczy się wokół kilku prostych bardzo żądań? A jak ma zjednoczyć się naród francuski, jeśli pański dziennik jest słabym echem oszczerstw szerzonych przez inne pisma?

Świadcze, że Kongres Wiedeński był i pozostanie, mimo oszczerstw, zdarzeniem historycznym. Świadcze, że przedstawiciele ponad 70 narodów spotkali się tam i porównali swoje poglądy nie tylko w całkowitej wolności, ale i w całkowitej przyjaźni. Świadcze, że zostali się z wolą dalszego działania i nadzieją osiągnięcia celu. Świadcze, że Pokój, którego żywy wzrost bezpośrednio widzieliśmy, jest czymś więcej, niż prosty brak wojny i że może stać się nową chwałą i nową więzią pomiędzy ludźmi.

Jean-Paul Sartre

M. TURSUN-ZADE (Tadżykistan)

INDYJSKA BALLADA

Było niegdyś przed laty — jak mi dziad opowiadał —
W Samarkandzie — lecz dziś byś nie potwierdził słów dziada —
Opowiadał mi dziad i sam w książkach czytałem —
Było miejsce, nazwane „zarażonych kwartałem”.

Za cmentarzem pustkowią zagrodzone chroniły
Ludzi bardziej nieszczęśliwych od mieszkańców mogiły.
Zapomnieli ich bliscy, zapomnieli rodzina.
I umarli dla życia, choć nie przyszła godzina.

Jeśli który z biedaków chciał się udać do miasta,
To szedł z dala od drogi, to szedł polem i trzaskał
W takt drewnianą kołatką, krzycząc wciąż nieprzytomnie:
„Nie zbliżajcie się do mnie, nie zbliżajcie się do mnie!”

A gdy który kołatką nie mógł kupić na tasach,
To się sznurem parciannym dla przestrogi opasał
I zawiesił na szyi tani dzwonek i dzwonił:
„Od za-ra-zy masz stro-nić, od za-ra-zy masz stro-nić!”

Tak bywało przed laty — dzieciom dziad opowiadał —
W Samarkandzie, lecz dzisiaj nie potwierdził słów dziada.
Dzisiaj sam już nie młody, rad gromadzić wkrąg dzieci,
Opowiadam im dziwy z mej włóczęgi po świecie.

Za szczytami Hindukusz, Himalaju ścianami
Zapoznałem się niegdyś z baśniowymi krajami.
Tam owoców bez liku, skarby wielkie i cenne,
Tylko w oczach mieszkańców wciąż ciemności bezdenne.

Opowiadać o wszystkim, na to czasu za mało,
Jeszcze wiele wieców na gawędę zostało.
Nie opowiem wam dzisiaj o grobowcach z marmuru,
Ni o szatach śpiewawczek, rzekłbyś tkanych z lazuru,
Ni o radzich — ta bestia od tygrysa jest dziksza,
Ni o dufnych próżniakach i taszcących ich rikszech,
Ni o słoniacz jak śniegi, ni o jarzmie człowieka,
Ni o chlebiec wieśniaka, który z gliny wlepka.

Dziś wam za to o rzeczy najstraszniejszej opowiem,
O milczących cmentarzach, w których żywy tkwi człowiek.
W tej baśniowej krainie żyją, między innymi,
Czyszciciele podwórzy i targowych podcieni,
Galganiarze, kopacze — wyglodzona gołota —

Ci, co schodzą za darmo w jamy kopalń i w błota.
Jest to plemię osobne, w nim zaś grupy niemałe,
To są kasty najgorsze, w mrokach wieków powstałe.

Jak nasrozi przestępcy chodzą brzegiem chodnika.
Ich nie wolno dotykać, ich nie wolno dotykać!

Zastraszony, złamany staruch dzieciom coś plecie —
Od kołyski do ciebie nie uśmiechnie się dziecię —
„Wiedz, na członka twej kasty do lat setek jak gada
Nikt nie spojrz bez wstrętu — tak im dziad opowiada —
Wiedz, że człowiek twej kasty nie dla życia się rodzi,
Że z tym nawet angielski biały sahib się godzi,
Gdy stóp enego bramina dotkniesz cieniem przeklętym,
Bramin plunie na ciebie i odsoczy ze wstrętem,
Jeśli rączkę tramwaju ujął dłoń two śmiały,
Zarażony jest cały, zarażony jest cały.”

W tej baśniowej krainie byłem z druhów mych kółem,
Raz dziwnego przybysza w moich progach podjąłem.
Czemu on nie usiadzie, lecz dygoce wciąż cały?
Czemu ręk nie wyciągnie w ciężkiej pracy zgrubiałych?
Lecz jak jelen w obławie radby zaszyć się w cieniach?
Rzekł mi wtedy „Pochodzę z wyklętego plemienia...
Wiesz o naszym spotkaniu pokoleniom przekazać.”

I udałem się do nich, na ich żywe cmentarze.

Nie zapomnieć mi nigdy tamtych zwierzeń nieśmiałych,
Tych ich powiek czerwonych, skąd lzy grube spływały,
Owych rąk wychudzonych od udreki i głodu,
Wyciągniętych do braci z radzieckiego narodu...

Za szczytami Hindukusz, Himalaju ścianami
Zapoznałem się niegdyś z baśniowymi krajami.
Tam owoców bez liku, skarby wielkie i cenne,
Tylko w oczach mieszkańców wciąż ciemności bezdenne.

Kiedy wyjdzie z uśmiechem ze swych cudnych pokoiów
Ten obłudnik, opiekun tamecznego ustroju,
Niechże lud się od niego jak od trądu odgrodzi:
— Zarażony przechodzi, zarażony przechodzi!

Z cyklu „Wiersze o Indiach”
Przeł. Tadeusz Chróścielewski

JAN KOSICKI

REFORMA OBROTU TOWAROWEGO NA WĘGRZECH

W tych pierwszych dniach, jakie dzielą nas od Uchwały Rządu z dnia 3 stycznia, kiedy przenosiemy jej wytyczne w teren, kiedy zaczynamy wcielić ją w życie — nie od rzeczy będzie, jeśli przypomnimy i przedstawimy Czytelnikom reformę analogiczną do naszej, jaką w Węgierskiej Republice Ludowej podjął Rząd w dniu 2 grudnia 1951 roku *).

*

W jakich warunkach została wprowadzona na Węgrzech reforma obrotu towarowego? Rok 51. był to już drugi rok 5-letniego Planu Rozwoju Gospodarki Narodowej. I dał on o sobie wyraźnie znać tak w przemyśle, jak w rolnictwie. Toteż sekretarz generalny Węgierskiej Partii Pracujących, *Matyas Rakosi*, referując Projekt Reformy na Plenum Partii w dniu 30 listopada 1951 roku, wielokrotnie podkreślał znaczenie historycznego przeobrażenia się Węgier z kraju rolniczego w przemysłowo-rolny.

Jeśli bowiem w r. 1949 — pod koniec Planu 3-letniego — produkcja przemysłowa osiągnęła 150 proc. poziomu przedwojennego, to w listopadzie 51 r. — już 250 proc., a tempo produkcji w stosunku do pierwszego roku 5-letniego planu wzrosło o 29,1 proc. Każdego miesiąca podnosił się stan zatrudnienia w przemyśle o 21 tysięcy ludzi — przeciętnie, co w jednym tylko roku oznaczało przybór ćwierci miliona nowych pracowników. Jeśli wspomnieć jeszcze choćby najkrócej o wielkiej rekonstrukcji bazy przemysłowej, o nowych — podobnie jak u nas — kombinatach i gigantach, wznoszonych na węgierskim „placu budowy”. O Naddunajskim Kombinacie Metalurgicznym, gigantycznej elektrowni w Inot, 110-kilometrowym Kanale Dunaj — Cisa, otrzymamy obraz kraju i narodu węgierskiego w przełomowym okresie przemian, już pozwalających określić Węgierską Republikę Ludową, jako państwo przemysłowo-rolne, sukcesywnie ugrunтовуюjące i rozwijające podstawową dźwignię socjalizmu.

W tymże, 51 roku, rolnictwo otrzymało nowych 3000 traktorów, co razem — w 361 ośrodkach maszynowych — tworzyło już park 6895 traktorów. Otrzymało nowych 1250 sнопopowiązek, 850 młocarni, 850

*) Przypominamy, że w poprzednim numerze „Wiś” ogłosiliśmy artykuł „Rynek — regulująca rola państwa — interesy chłopów”, omawiający znaczenie Uchwały Rządu z dnia 3 stycznia dla rozwoju naszej gospodarki. (Redakcja).

maszyn do składania zboża w sterety, 990 żniwiarek i tysiące innych maszyn, przeobrażających technikę produkcji rolnej. Przeprowadzone były w tym roku roboty irygacyjne na wielkich obszarach, co w warunkach klimatycznych Węgier — stałe zagrożenie suszą — ma wielkie znaczenie.

O rozmachu produkcyjnym chłopstwa świadczył stopień wykonania zobowiązań wobec Państwa. Na 3 miliony chłopów indywidualnych już do listopada 51 roku około pół miliona wykonało pełny plan skupu, a 130 tysięcy w 200 proc. Rekord — i doprawdy niezwykły — były to spójnie produkcyjne, które skup zadowalał w wysokości sięgającej często do 1000 proc., tzn. dziesięć razy przewyższającej obowiązkowy plan.



Zarząd Spółdzielni Produkcyjnej

Mal. Bencze Laszlo

Ale też — nowym w 51 roku był właśnie dalszy przystosowanie produkcji do potrzeb państwa. Na 3 miliony chłopów indywidualnych już do listopada 51 roku około pół miliona wykonało pełny plan skupu, a 130 tysięcy w 200 proc. Rekord — i doprawdy niezwykły — były to spójnie produkcyjne, które skup zadowalał w wysokości sięgającej często do 1000 proc., tzn. dziesięć razy przewyższającej obowiązkowy plan.

*

Ala przy tych sukcesach i dynamice produkcji w bilansie roku 1951 po stronie produkcji przemysłowej za pierwsze 10 miesięcy Plan zrealizowany został w 99,3 proc., a

więc nie z nadmiarem, jaki cechuje nasze socjalistyczne budownictwo. Niedostateczna okazała się dyscyplina pracy. Fakt ten w części tłumaczył proces gwałtownego podboju ludzi na wielkie budowy i do przemysłu. Praca szukała ludzi a nowożeńcy mieli jeszcze tendencję do plynności, do przenoszenia się z miejsca na miejsce, co sprzyjało uchylaniu się od rygorów pracy, norm i obowiązków. Proces wdrażania w dyscyplinę socjalistycznej pracy dopiero się rozwijał, a wymagał również ugrunтовania warunków do akordowej pracy, do wytworzenia się powszechnego i konsekwentnego przekonania wśród pracujących, że tylko zwiększenie wydajności daje większe dochody (osobiste) i daje je na ustabilizowanej podstawie dla re-

wy uruchomione być mogą w pełni dopiero w spółdzielczej produkcji. Ten kierunek, jak wskazywał na to rok 51, nabierał już dużego znaczenia na Węgrzech. Partia wskazywała na wagę dopełnienia niesionej pomocy indywidualnym gospodarstwom zadaniami wzmocnienia rozwoju spółdzielczości produkcyjnej i uzmocnienia wydajności wielkich Gospodarstw Państwowych.

*

Trudności, jak łatwo się domyśleć, rosły na rynku i wokół rynku, w tym ogniwie spójni ekonomicznej między klasą robotniczą a chłopstwem.

„Przed wyzwoleniem i w ciągu kilku lat — mówił Rakosi — Węgry były w zasadzie krajem rolniczym”. Niska więc była jeszcze zdolność nabywczą mas pracujących i w związku z tym i charakterem rolniczym (a w przedwojennych warunkach — kraju nędzy mas chłopskich) — nisko też zostały ustawione ceny produktów żywnościowych. W roku bowiem 46, gdy wprowadzona została mocna waluta, ustalono stosunek cen, pasujący jeszcze dla kraju rolniczego, który cechowała niska stopa życiowa mas pracujących. Ale w latach następnych nastąpiły gruntowne zmiany. „Ojczyzna nasza — mówił Rakosi — z kraju rolniczego przekształciła się w kraj przemysłowy i industrializacja postępuje szybko naprzód”.

Te przeobrażenia — podobnie jak u nas — zmieniły strukturę klasową Węgier. Powiększyła się klasa robotnicza i miasta. Zniknęło bezrobocie. Chłostwo nawet na miejscu, na wsi, weszło w części w położenie chłopów-robotników. „Praca szukająca ludzi” podniosła dochodowość rodzin robotniczych i chłopskich, reforma rolna dała ziemie prawie jednej trzeciej chłopów, którzy za rządów Horthy'ego głodem przymierali przed wojną. Polityka kredytowa i podatkowa państwa, jego wszechstronna pomoc niesiona małym i średniorolnym postawiła ich na nogi. Stale pogłębiała spójni gospodarczą między klasą robotniczą a chłopstwem nie tylko w zakresie „perkalu” ale i w „metalach”, szczególnie w okresie rekonstrukcji przemysłu i wielkiego Planu 5-letniego, który również jak u nas, i na Węgrzech jest planem budowania podstaw socjalizmu — wzmocnieniu warunków dla podnoszenia wydajności, a więc i dochodowości chłopów. W wyniku po obu stronach i w klasie robotniczej (powiększonej) i w chłopstwie wzrosła zdolność nabywczą, wzrosła tendencja do podnoszenia stopy życiowej i jej rzeczywiste podnoszenie. Na wsi odbiło się to na zmniejszeniu produkcji towarowej.

(dokończenie na str. 7)

WACŁAW PALIK

KILKA SŁÓW O ZAMOŻNYM ŚREDNIAKU

JUŻ na VII Plenum zwracał uwagę Bolesław Bierut na to, że w przepompowywaniu części dochodów klasy robotniczej do wsi, bierze również udział zamożniejsza warstwa średniaków. A że proces ten odbywał się poprzez rynek — równoległe do zaopatrzenia reglamentowanego — nabierał cech drapieżności w półlegalnym podbijaniu cen. Zamożni średniaki posuwali się tu bowiem po drodze, którą torował kula i spekulant.

Postawa się oczywiście w różnym stopniu, ostrożniej, bardziej ogólnie, pełen skrupułów, ale dopóki z tej drogi nie został zmieciony prowodyr anarchy wolnorynkowej — kula i spekulant, dopóki sama droga nie została przebudowana — „zamiast tego, aby w służebnym i uzasadnionym zakresie wieś szczególnie zainteresowana w uprzemysłowieniu kraju również przyczyniała się do akumulacji socjalistycznej — zaznaczył się proces odwrotny: przepompowywanie części dochodów klasy robotniczej do wsi, gdzie docierają te głównie zasilały kula i zamożniejszych średniaków, dysponujących największymi nadwyżkami towarowymi”.

Proces ten rozwijał się poprzez wolny rynek, w „towarzystwie” i pod naciskiem kula i spekulanta. Toteż zamożni średniaki zarażani wzmaganiami żywiołowości na wolnym rynku, mogli brać zachęty do marzeń o „pogłogowaniu” mu na tej drodze, do projektów i żądań, by w produkcji na swoim gospodarstwie mieć bardziej „wolną rękę”.

Uchwała Rządu z dnia 3 stycznia kładzie między innymi kres i temu zagrożeniu, które część zamożniejszego średniaka mogło przybliżyć do kula i popychać do wzmocnienia kapitalistycznych elementów na wsi, te mianowicie, która nadwyżki nie lokowała w ponadplanowym skupie i kontraktacji, ale przenosiła prawie w całości na rynek rozbojniczych cen.

„Obecnie przegrupowujemy swoje siły, aby w nowym s-yku skutecznie bić uroga klasowego, rozgromić spekulantów, zabezpieczyć pełne urzeczywistnienie Programu Frontu Narodowego...” — oświadczył Edward Ochab w przemówieniu, wyjaśniając cel i zadania Uchwały Rządu. Zamożnemu średniakowi idzie więc Uchwała z pomocą w oderwaniu się od kula i spekulanta, w otrąśnięciu się z wpływów, które narażały na niebezpieczeństwo spójni gospodarczą między klasą robotniczą i chłopstwem. Do wyzwolenia i wzmocnienia w nim tych sił produkcyjnych, przy pomocy których i on się przyczyni do nagroma-

dzenia rezerw towarowych, rezerw rolnych, jakie państwo mogło rzucić w walny bój z elementami kulacko-spekulacyjnymi.

Zniesienie reglamentacji, uregulowanie cen towarów przemysłowych i rolnych na poziomie rynkowym i rozszerzenie wolnego rynku na produkty rolne, zadają drużące cios anarchii i rozwydrzonej spekulacji na rynku. Zmieniają z niego kula i spekulanta, jako przechwytywaczy części dochodu klasy robotniczej i chłopstwa pracującego; przenoszą część tego spekulacyjnego dawniej zysku na rzecz akumulacji socjalistycznej, uwalniają produkcję rolną i przemysłową od rynku paskarsko - spekulacyjnego i wstrząsają, przez co zmniejszone zostają bodźce do wzmocnienia wydajności pracy w rolnictwie i przemyśle.

Zwycięstwo to staje się możliwe dzięki temu, że choć elementy kapitalistyczne poprzez rynek hamowały i osłabiały napięcie produkcyjne klasy robotniczej i chłopstwa, dynamika wzrostu produkcji w przemyśle i rolnictwie na tyle jednak przewyższała utrudnienia i straty, że z nagromadzonymi rezerwami można było wreszcie stanąć do rozstrzygającego boju. Uchwała Rządu z 3 stycznia dała hasło, plan, środki i sformowała w nowym zryku nasze siły, aby rozgromić wroga klasowego i zabezpieczyć trwałe podnoszenie sił gospodarczych i obronnych naszego kraju, zabezpieczyć podnoszenie dobrobytu i kultury mas pracujących.

Zamożni średniaki brali więc w ostatnich latach udział równocześnie w dwu przeciwnych sobie procesach. W klimacie wzmaganego żywiołowości i anarchii paskarskiej na rynku dochodził do znacznego wzrostu swych dochodów. W produkcji zaś podnosił swe plony, wierny hasłu „więcej za hektara”. Ale ta sprężystość mogła być zmniejszona albo na rzecz produkcji, albo na rzecz rynku spekulacyjnego.

To więc, co zagrażało zamożnemu średniakowi, to przejęcie kulackiego hasła „więcej za hektara” na miejsce „więcej za hektara”, w konsekwencji obniżenie produkcji... — Ograniczenie zostało unicestwione... po stronie wsi siłami małego i średniorolnych chłopów, spółdzielni produkcyjnych i PGR-ów.

Siły te nagromadziły rezerwy towarowe i do boju rozstrzygającego o dalszy wzrost wydajności stają pełne dynamiki i rozmachu produkcyjnego.

Wacław Palik

*) Bolesław Bierut — Przemówienie na VII Plenum Partii.

KRYSZYNA PALYS

S P R A W A J E D N E J K E P Y

W czasach, kiedy księżna Izabella Czartoryska przebiegała w otoczeniu rozszerebiotanych dam ścieżki puławskiego parku, ciągnąc za sobą na atlasowej wstążce białą owieczkę z dzwonkiem u szyi, albo szukała wzniosłych nastrojów w „Świątyni Sybilla”, o trzy kilometry dalej, nad brzegiem Wisły rozgrywała się chłopka tragedia. Woda rwiała i rwała całym latami. Zabierała ziemie z Wólki i niosła na drugi brzeg, na pola kieleckie wsi Łęki, rozsiadłej na nadwiślańskich madach. Z czasem powstała na środku rzeki niemiała, 250 ha wyspa. Na naniesionym płachu osadał po każdej powodzi zżyny muł. Wiatr nasyłał na madzie nasienie topoli, jaskawy, olchy, sosny i wierzbiny. Drzewa zapuszczały w kępe coraz głębiej korzenie, a w chłopskich sercach korzeniła się coraz bujniej nienawiść.

— Nasza ziemia na kępie, woda ją tam zaniosła — powtarzali dzia-dziowie i ojcowie Wydrów, Sikorów i Rutkowskiów z Wólki.

— Nasza ziemia na kępie, woda ją przecież rwie teraz — mówili u Woszczyków, Rodzichów, Boch-rów i Mizaków z Łęce.

W obu wsiach czekali na każdej wiosny na dzień, w którym zzielenie się trawa na wyspie. Łękanie wypędzali wtedy co prędzej bydło ze stajni i wieżli łodziami na wyspę. Wólka miała bliżej do kępy, pędziła je więc co dzień przez płytą odno-gę. Nienawiść ludzka znajdowała ujście w drobnych złościwościach. Łękanie zajmowali krowy chłopom z Wólki, a pasterze z Wólki chwy-tali, gdzie mogli, bydło łeckie i za-pędzali do swoich zagrod. Nie było w Łęce i Wólce w tych czasach chłopów, baby, a nawet dziecka, żeby nie patrzyli na siebie nawzajem z nienawiścią.

Chłopom z Wólki stały w oczach łeckie mady. — Chciwce, ziemię mają jak masło, a na kępę pchają się. Cóż my, biedacy mamy począć na naszych piachach?

Wiosna rzeczywiście była wciśnię-ta pomiędzy, las państwowy z jed-nej a rzekę i trakt z drugiej stro-ny. Trzech najbogatszych gospodar-zy uprawiało po trzy hektary ziem-i, reszta musiała się zadowolić kilku dziesiątkami arów. Półtora setki rodzin gnieździło się w pia-chach. W 1913 r. w Wólce złożyli chłopci ostatni grosz i poszli do adwokata, Wólka przedłożyła w

sądzie plany z 1848 roku, na któ-rych kępa była wyrzeczona w gra-nicach gromady. Łęka dostarczyła znów planów z czasów uwłaszcze-nia, gdy wyspa zaznaczona była po stronie kieleckiej. Nie zrażało to chłopów z Wólki, do wódzili, że pod-czas „ukazów” co bogatsi Łękanie przekupili carskich geometrów i dla-tego wyspa znalazła się na ich stro-nie.

Proces toczył się całym latami. W czerwcu 1937 roku nie licząc się z tym chciano w Łęce przeprowa-dzić komasację. Dwóch mierniczych przepłynęło łódką rzekę i zabrało się do rozstawiania na kępie swoich instrumentów. Nie upłynęło nawet pół godziny, a już okrzyki ich gro-mada chłopów z Wólki.

— Zabienajcie swoje trójnogi i taśmy — huknął któryś kryjąc się za plecami najbliższych. — Nie będziecie mierzyć naszej ziemi!

Tego samego dnia pastuch łęcki Jan Woszczyk poszedł wieczorem na brzeg wyspy łowić ryby. Zaszły się między jalkowce i zanurzył podrywkę w wodzie. Wieczór był cichy, woda tak spokojna, że widział w niej gwiazdy roziskrzane nad głową. Połów zapowiadał się nie najgorzej. Wyciągnął już trzeci raz z wody sieć i za każdym razem wrzucił do kosza trzępoczący się nerwowo rybę, gdy po wodzie zaczęły się ślizgać jakieś odbłaski.

— Księżyc wschodzi? Przecież jeszcze nowiu nie było! — zastano-wił się chwilę, a potem tknięty złą myślą poderwał się na nogi, wyciągnął szyję nad jalkowcami i zdre-tniał. Ze środka kępy strzelały w górę płomienie.

Odtąd nie było dnia wolnego od jakiejś złościwości, a proces toczył się kolejno w Siedluch, Radomiu i Lublinie. W sądzie próbowa-no godzić przeciwników, ale Wólka uparla się. — Cała kępa do nas należy, nie będziemy z nikim dzielić się.

W Łęce zakpięło. — Jak to, my dajemy po dobroci połowę, a góły z drugiego brzegu mają jeszcze za mało? My im pokażemy, kto jest gospodarzem wyspy! Jest u nas Sto-warzyszenie Młodzieży Katolickiej, czy nie? Potrzebuje świetlicy, czy nie? Zbudujemy ją z drzewa, które wyrósł na kępie. Zetniemy nasze topole i sokory.

Pierwszego lipca 1937 roku czter-naści chłopów popłynęło łódkami ścinać drzewa. Teraz każdy chwycił co było pod ręką i pędził nad rzekę. Ładowali na wy-

spie pod gradem kamieni. Do nośne hurraaa! było sygnałem do rozpoczęcia bitwy. Prowadził Antoni Wasiak, a za nim sąli Piotr Sikor-na mierząc ze sztucera w środek łachy. Zagrzynało kilka strażów, które uzbrojonych w kosy i widły poderwało naprzód. Z przeciwniej strony na czoło frontu łeckiego wysu-nął się olbrzymi Bochra. Dźwigał przed sobą przedpotopową fuzję, na której widok duch obojowy opuścił napastników. Zaczęli cofać się w



Mal. S. Michałowski

popłochu nie bacząc, że stary Anto-niak nie może nadążyć i zostaje w tyle. Wtedy doskoczył do niego Woszczyk i mając za plecami swoich rabnał chłopca przez głowę włosiem. Antoniak nawet nie jęknął, zwa-lił się na piasek. Uderzenie Woszc-zyka poprawił Mizaki widział. Pa-włowski dołożył kijem okutym w żelazo, a jego brat walił na oślep topolowym kołkiem. Ale, że w chło-pie twarda dusza (Antoniak poru-szył się), Bochra dołożył mu jeszcze raz włosiem w tył głowy.

Wkrótce po tym do Wólki wpadł zziązany chłopak.

— Łęczyćcie ścinają na kępę to-pole i sokory! — darł się na całe gardło. Jego krzyk podzielał jak

dzwięk żelaza uwieszonego na słupie pośrodku wsi, w które było się podczas pożaru na alarm. Kto żył chwycił kołek, siekiere, kosę albo widły i biegł nad rzekę. Baby i dzie-ci zbierały po drodze kamienie, któ-re później służyły jako amunicja.

Obrotny Kosmala zabił tymcza-sem żrogę całej gromadzie wółczan-skiej, za nim sunęło jeszcze kilku Łęczan. Tomczyk wysunął się na-przód i dopadł Wacka Wydrę, jed-nym uderzeniem kładąc chłopca w

Resztę odwagi stracili Łękanie, gdy dojrżeli Szczepana Pyrę, prowa-dzącego kilkunastu chłopów z Wólki Gołębskiej na pomoc Wólce Pro-fekciej. Starali się dopaść jak naj-prędzej łodzi, bo Wólka deptała im po piętach celując w plecy kamie-niami. Jeszcze tylko Miechowicz nie dawał za wygraną, bo wyrwał Wa-siakowi fuzję i już z łodzi wpakow-wał Wydrę kulę w udo chociaż kłęska Łęki była już przesądzona.

Powrót zwycięzców do wsi przy-pominał jednak pogrzeb, a nie trium-falny wjazd. Dzieci dźwigały na związanym naprędku dragach starego Antonia, w którym kołatała jeszcze jakaś iskierka życia.

Przed sądem lubelskim toczyły się teraz dwie sprawy: o kępę i o zabójstwa. W jeieni zapadł wyrok skazujący kilkunastu chłopów z Wólki i Łęki na karę więzienia, nie ostudziło to reszty nienawiści, wzmożło się jeszcze bardziej. Proces o kępę toczył się aż do drugiej wojny. Odsiedzieli ludzie swoje ka-ry, wrócili do wsi, przeniesli się na tamten świat Rutkowski i Miecho-wicz, a adwokaci wciąż brali pie-niądze.

Jedno trzeba przyznać chłopom z Wólki i Łęki: Podczas okupacji zarzu-cił dawne spory i pohamował złość. Ale gdy zakurzyło się na deblin-skim trakcie za umykającymi faszy-stami i w Lublinie osiadły władze Polski Ludowej, odżyła stara złość na nowo. Wólka zgłosiła się znów do sądu, a sprawa toczyła się jeszcze przez dwa lata. Dopiero, w 1947 roku zapadł ostateczny wyrok. Uzna-no za miarodajne plany z roku 1898.

— Za te pieniądze, które daliśmy adwokatowi zarobić, kupiliby nie jed-ną, a trzy kępy — mówi dziś Wydra, kotlarz ze stoczni.

*

Chłop z Wólki trzymał się pazura-mi kępy na Wiśle, ponieważ nie widział żadnego wyjścia ze ślepej ulicy, w którą go zapędził dawny system gospodarczy. Pastwisko na kępę było dla niego sprawą „być albo nie być”.

— We wsi robiło się coraz ciąż-niej — mówi Wydra. W chałupie przy młaskach był coraz większy tłok, a co było do nich klasę, skoro ruszyć się poza wieś nie było gdzie? W Puławach rejestr głodujących obejmował 100 nazwisk, a na cały przemysł w powiecie składały się 3 tartaki, 1 cukrownia potentata finansowego Broniewskiego i 80 ku-lackich wiatraków. Jeśli ktoś dostał

się na krótki czas do roboty przy naprawie toru kolejowego, albo do ścinania drzew w lesie, a w nocy łowiło się ryby w Wi-śle. Trzech krawców z Wólki i dwóch malarzy pokojowych, du-żej siedziało we wsi jako bezrobot-ni, niż pracowało w mieście.

Po wojnie zbudowano pod lasem fabrykę i połowa wsi dostała pra-cę na budowie, a druga połowa stanęła do produkcji. Kto nie po-szedł do fabryki, znalazł miejsce w puławskim PZGS-ie, w Instytu-cie Hodowli i Aklimatyzacji Roslin, w Państwowym Instytucie Wetery-naryjnym, albo w majątku do-swiadczałnych Michałów. Sprawa ziemi przesunęła się nieopóźnien-nie na drugi plan. Dawny sołtys Mateusz Kroczek, który przed woj-ną razem z Marianem Sikorą pro-wadził proces z Łęką, pedałuje co dnia na rowerze do fabryki w ciemnym mundurze portiera. Dzieci uczestników bitwy na kępę są przodownikami pracy. Na listach robotników fabrycznych widnieją nazwiska Rutkowskiów, Wydrów, Sikorów. Młody Pawłowski ożenił się z dziewczyną z Łęki i żyją we wielkiej zgodzie Wygaśla nienawisć, bo władza ludowa pokazała chłopu wyjście ze ślepej ulicy nędzy. Mo-że zarobić na życie, nie trzyma się kępy pazurami, a Wólka powoli przestacza się w robotniczą dziel-nicę Puław. A rzeka jest inna i będzie jeszcze inna.

— Rzecz zaczęliśmy zastępować drogę — mówi kotlarz, wskazując wyłożony kamieniami na zakrętach brzeg i wybiegające w wodę kosy. W języku służby wodnej nazywają się one „ostrogami”. Inżynier-racjo-nalizator wynalazł nowy sposób budowania takich zapór, o które rozbija się nurt rzeczny i traci na siłę. Kładzie się je z wiklinowych „materaców” obciążonych kamie-niami.

Komitet Gospodarki Wodnej Pol-skiej Akademii Nauk przystąpił do opracowania planu budowy wiel-kich inwestycji wodno-melioracyj-nych, przewidzianych programem Frontu Narodowego. W tych pla-nach znajduje się zapora, o której mówi się na Lubelszczyźnie ostat-nimi czasy. Stanie ona na środko-wy Wiśle i zatrzyma 2 miliardy metrów kubicznych wody. Zamknie-mo w zbiorniku, głębokim na kil-kanascie metrów, straszliwą siłę, tak że spiętrzenie sięgnie aż po San. Żywił, który hulał kiedyś bezkarnie, zaprzęgnie człowieka do swojej służby.

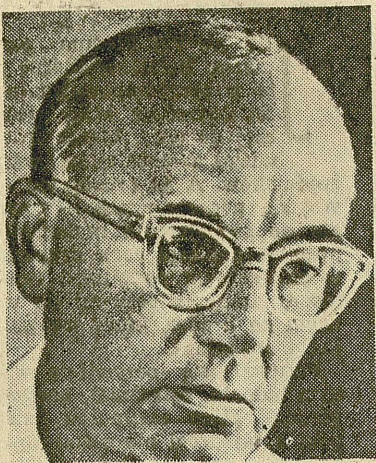
Krystyna Palyś

Laureaci Nagrody Stalinowskiej

WANDA KARCEWSKA

JOHANNES R. BECHER

„Piękno ojczyzny
O ile piękniejsze
Byłoby jeszcze,
Piękne z pięknym wiążąc
We wszechpotężnym hymnie
piękności —
Gdyby piękno
Lad służył
Wszystkim niosący szczęście
Oslaniający pokój
Po wsze czasy“.



O TO słowa, streszczające motyw przewodni walki i twórczości jednego z najwybitniejszych poetów demokratycznych Niemiec, Johanna R. Bechera, którego nazwisko widnieje na liście siedmiu laureatów szczytnej Stalinowskiej Nagrody Pokoju. Becher zasłużył na nią całym swym życiem wielkiego patrioty i internacjonalisty, płomiennego bojownika o szczęście ludzkości; wytrwałego uczestnika walki proletariatu niemieckiego; znakomitego twórcy niemieckiej poezji antyfaszystowskiej, uosabiającego w swych dziełach wszystkie najlepsze cechy wielowiekowej kultury narodowej postępowych Niemiec. Nagroda Stalinowska uczciła w nim godnego przedstawiciela odrodzonych Niemiec, reprezentanta najlepszych dążeń narodu niemieckiego, którego współczesny wkład w dzieło walki o pokój jest olbrzymi. Becher to autor szeroko popularnych utworów, opiewających szczęście socjalistycznej ojczyzny, głoszących idee zjednoczenia Niemiec; to jeden z najbardziej ulubionych ludowych poetów nowych Niemiec.

Droga twórcza Bechera, której uwieśnieniem jest najszczytniejsze miano „poety pokoju“, nie była łatwa. Becher wyszedł ze środowiska mieszczańskiego debiutował w kręgu tak modnego przed pierwszą wojną imperialistyczną ekspresjonizmu, którego ślady długo jeszcze przeżywał w jego twórczości. Wytrwała walka z tymi obciążeniami świadomości i ideologii absorbuje poetę w pierwszym okresie działalności literackiej. Od początku jednak poezja jego przesycona jest nienawiścią do militarystycznej tępoty i okrucieństwa wilhelmowskich Niemiec (która później znajduje tak dojrzałe podsumowanie w powieści z r. 1940 p. t. „Pożegnanie“), buntem przeciwko imperialistycznej rzeczywistości. Cechuje go jeszcze wtedy drobniomieszczańska bezsilność; nie umiając odnaleźć pozytywnych dróg wyjścia, Becher ogranicza się w swojej wczesnej krytyce do beznadziejnej negacji, anarchizującej chęci burzenia. A jednak, tak jak dla wielu innych wybitnych poetów niemieckich, od tej nieporadnej krytyki imperializmu, prowadził dla Bechera drogę w przyszłość. Wstrząsem stała się wojna imperialistyczna 1914 roku, kiedy Becher odmówił udziału w światowej rzezi. Prawdziwy przełom przyniosła Wielka Rewolucja Październikowa. Poeta coraz silniej wiązał się z proletariatem; idee jego wyzwolenia walki coraz mocniej przesycały twórczość Bechera. W roku 1925 ukazuje się jego książka pod symbolicznym tytułem „Trup na tronie“; poeta obnażał cyniczny fałsz „republikkańskiego“ oszustwa, które torowało drogę nadchodzącemu faszyzmowi. W innych swoich utworach z tych lat Becher demaskował podstępne wojny imperialistyczne (opowieść z 1926 r. „Bankier jedzie na pole bitwy“); ukazywał życie proletariatu, który „zmiecie stary świat“ („Głodne miasto“, 1927); smagał bezlitośnie burżuazyjnych wyzyskiwaczy. Jednocześnie Becher niejednokrotnie w tych latach dawał wyraz temu uczuciu, które później przeżył w tym pięknym powiedzeniu: „Czy człowiek wykazuje zrozumienie dla nowego, które pojawiło się na świecie i czy w nim samym dokonuje się przemiana — wedle tego należy sądzić, jak wielkie okazało staranie, aby znaleźć prawdę o Związku Radzieckim“. Na tej drodze powstały takie utwory Bechera jak znakomite poematy „U grobu Lenina“ (1924) i „Wielki plan“ (1931, hymn na cześć pierwszej pięcioletki radzieckiej), głębokie dowody internacjonalizmu poety, jego umiłowania nowego świata. Jednocześnie Becher poszukiwał nowych form postępowej liryki — walczył przede wszystkim o klarowność i komunikatywność utworu; poezję pragnie wydoskonalić jako najbardziej giętkie narzędzie agitacji i propagandy w walce przeciwko faszyzmowi. Tytuł zbioru jego wierszy („Au wand zu klieben“, „Do przyklejania na ścianie“) najlepiej wskazuje kierunek tych poszukiwań nowych form poezji antyfaszystowskiej, umiejętnie operującej bojową pieśnią, krótkim hałsem, ubranym w poetycką szatę i przyklejonym na murach fabryki. Rola Bechera w wykuwaniu tej nieustępliwie, zawsze walczącej poezji, była olbrzymia.

Poeta o takiej przeszłości musiał emigrować w dniach doświadczenia hitlerowców do włości Przebysław w Austrii, Czechosłowacji, Francji, w latach 1935 — 45 w ZSRR. Nie zaprzestając jednak nigdy walki. Jego poezja opiewa teraz bezimiennych bohaterów antyfaszystowskiego podziemia niemieckiego („Człowiek, który milczał“), przypomina o nieugiętej postawie najlepszych przedstawicieli narodu, piętnuje faszystowskich bandytów. Socjalistyczne bu-

downictwo ZSRR przydaje nowych tonów jego poezji, warunkuje jej wzrastającą dojrzałość. Ukazują się takie znakomite zbiory Bechera, jak „Człowiek, który wyszł z więzienia“ (1939), „Poszukiwacz szczęścia i siedem grzechów“ (1938) w poemacie „Drewniany dom“ poeta zarzysował przyczyny doświadczenia hitlerowców do władzy. W r. 1940 ukazała się jego powieść autobiograficzna „Pożegnanie“, przedstawiająca społeczeństwo niemieckie w przeddzień pierwszej wojny światowej. W latach Wielkiej Wojny Narodowej Becher wszystkie swoje nadzieje związał z Czerwoną Armią, z nienawiścią i gniewem piętnując najazd faszystów (tom „Pochód barbarzyńców“ z 1942). Natychmiast po klęsce faszystowskich Niemiec Becher wraca do Ojczyzny. Tu rozpoczyna przede wszystkim pracę nad organizacją kultury demokratycznych Niemiec, stając na czele „Kulturbundu“, który odegrał tak znaczącą rolę w dziele odrodzenia Niemiec. Nowe zbiory jego utworów („Powrót“, 1946; „Naród błądzący wśród ciemności“, 1948; „Nowe niemieckie pieśni ludowe“, 1950) przynoszą ostry rozrachunek z faszyzmem, opiewają pokojowe budownictwo republiki niemieckiej. Stanowią one nowy dowód uśpienia rozbudzonego wielkiego talentu poety. Becher prowadzi jednocześnie ożywioną działalność polityczną; szczególnie duże są jego zasługi jako działacza na rzecz zjednoczenia Niemiec, jako jednego z wybitniejszych bojowników o pokój.

Becher jest poetą w większym stopniu, aniżeli inni współcześni mu poeci narodowym. Zagadnienie zjednoczenia Niemiec, ich przyszłości zajmuje centralne miejsce w jego twórczości. Jego rozumienie narodu dalekie jest od wszelkich znamion nacjonalizmu. Światopogląd socjalistyczny pozwolił poecie pogodzić miłość do własnego kraju z pełnym uznaniem wartości innych narodów.

Piękno ojczyzny stanowią dlań najlepsze tradycje narodowe uosobione w człowieku, jego obyczajach i arcydziełach, które stworzył:

„Piękno ojczyzny
W dziedzicznych obyczajach,
W zręczności rzemiosł,
W haftach i strojach...
Piękno ojczyzny
Piękne
W arcydziełach
Stworzonych
Na cześć twą, ojczyzno,
I sławę“.

„Ale Becher wychodzi w swoim wierszu poza ramy narodu, do którego sam należy. Dla niego:

„Piękne oczy, piękne ręce
Mówią
O pięknie ojczyzny,
Wznosząc się ponad nie
Przyświadcza
Piękno człowieka,
Przyświadcza
Piękno świata“.

Becher — patriotą żywo zareagował na rozbiście Niemiec, dokonane przez politykę amerykańskiego imperializmu. Zagadnienie jednoci Niemiec znalazło swój wyraz w niezwykłej przekonującym ideowo i artystycznie wierszu „Am Grenzbaum“. Poeta we wstrząsającym zdaniu podkreśla, iż ojczyznę podobnie jak serca nie można rozdzielić na dwie części („Man kann ein Herz nicht in zwei Teile Spalten“).

Twórczość Bechera cechuje gorące pragnienie pokoju. Poeta z niespotykaną wprost siłą artystycznego wyrazu walczy swoją poezją o pokój — o zachowanie człowieczeństwa. Świat pragnie pokoju, a ludzie chcą stać się ludźmi — mówi poeta we wspaniałym dwuwierszu, zawołaniu całych demokratycznych Niemiec:

„Friede, Friede sei auf Erden!
Menschen wollen Menschen
werden!“

Dla Bechera „mieć odwagę pisać, to znaczy: nie bać się poważnej sztuki i nie bać się prawdy“. „Odważa się — pisze Becher — stać się groźniejszą niż odważa na polu bitewnym, opętana lekciem i z konieczności uderzająca przed siebie, gdyż pisarz może uciec przed poważną sztuką i może uciec przed prawdą, nie lekając się zewnętrznej kary“. Poeta wybrał drogę prawdy — piętnuje ją Stalinowska Nagroda Pokoju.

STANISŁAW DZIECHCIARUK

D O M A T K I

Było nas wiele. Jest nas tylko troje,
Oświeć cię wzięła, matko kochana,
inna kobieta w domu — miejsce twoje,
ale ty żyjesz, trwasz niezapomniana.

Ja, ile razy znów stanie przede mną
twarz twoja we łzach i kaźń oświeć cię,
gdzie cię wrzucili w krematorium ciemności,
placz dławie w gardle i ręce zaciskam.
Lecz jeśli dzisiaj cię znowu przyzywam,
to nie by stare rozdrapywać rany.
Jest inna, matko, nad śmierć większa sprawa,
o niej, ja córka, chcę z tobą rozmawiać.
Może niejedni, wierni twej pamięci,
wiernością, która myśleć im przeszkadza,
mówią, że pamięć Twoją dzisiaj zdradzam,
rękę podając tym, co ciebie lżyli
i ciało Twoje oddali ogniomu.

O, matko moja, to ludzie zbyt prości,
jeśli mogą ciasny nazywać prostotą.
Ich nie dosięga wielkiej myśli władza
i miłość większa nad własne cierpienie:
myśl o zbolalej wojną ludzkości.

Ja nie do krótów Twoich wyciągam ramię,
do tych, co dzieci chowali wilczęta,
lecz do tych Niemców, którzy jak Ty byli
więźniami w takim, jak i Ty obozie,
jak Ty ginęli i syn Twój — w ciemności.

Wczoraj widziałam w piśmie fotografię:
chłopcy niemieccy, niemieckie dziewczęta
lepili z gliny gołębie pokoju.

Matko, powiedzieć tego nawet nie potrafisz:
w ich twarzach była ta jasność surowa,

którą miał brat mój, idący do boju
i ta szlachetna powaga, co mówi,
że ludziami obca jest ludźmi niewiść,
że jak szczerp winy można ich prostować
i jad wszczepiony z narodu wytrawiać.

A jeszcze temu kilka lat zaledwie,
w Rzeszowie działo się to, byłem przy tym,
jak młody chłopiec w Hitlerjugend bluzie
bójkę rozpoczął z polskim robotnikiem,
grożąc mu nożem zza pasa dobytym.
W zgrozie patrzyli zgromadzeni ludzie.
Gdy stary lekarz, Niemiec tam osiadły
chciał mu brzoń wyrwać, nóż utkwił mu w dłoni.
Ja to dziś widzę, krew spływała po niej,
a stary doktor oczy nią przysłonił
i jęknął głuchym: dokąd mój narodzie,
który miał dzieci wydać zwierzęta?

Ja to wciąż widzę, ja dobrze pamiętam.

Ale, o matko, gdybyś żyła z nami
mogła widzieć, jak w ziemiach za Odrą
inna wyrasta, piękna, ufną młodość,
co wie, że jedna, do pokoju świata
prowadzi drogi: aby się z ludami
ziem wszystkich naród niemiecki pobratał,
tybys, o matko, potrafiła pojąć,
wzrok mój wpatrzone w te młode źdźbela.
Tobie zrozumieć byłoby najprościej,
że wszczepiam innym ludziom wiarę moją
w imię tej troski, by dzieci nie stały
jak ja nad matek popiołami we łzach.

I w imię żywej do Ciebie miłości.

ANDRZEJ LAM

MANOWCE I LEKCJA WRZESNIA



Wojciech Zukrowski

M INEŁO już trzynaste z górą lat, a dopiero rok ubiegły przyniósł nam książkę wyrosłą z prawdziwej wiedzy o jesiennych wydarzeniach 1939 roku — „Wrzesień“ Jerzego Putramenta i „Dni kłeski“ *) Wojciecha Zukrowskiego. Mimo to nie można w tej perspektywie dopatrywać się opóźnienia, a w rozrachunku politycznym z winowajcami kłeski wrześniowej — epigonstwa. Nie tylko dlatego, że konieczne było wydobyć na światło dzienne nieznanych szerszemu ogółowi faktów historycznych, precyzyjnie ustalenie przyczyn przegranej kampanii i rozmiaru odpowiedzialności przywódców przedwrześniowej Polski. Także dlatego, że skrytowanie emocjonalnych walorów września jako tematu literackiego domagało się pewnej odległości czasowej. Nie łatwo było od razu znaleźć klawisz, który uderzony ręką pisarza wydał ton czysty i prawdziwy.

Kompromitacja góry sanacyjnej? Tak, była to kompromitacja nie pozostawiająca suchej nitki na Beckach, Mościckich, Śladowych i Rydzach.

Groteska? Dla tych, którzy pamiętają sloganowe „silni, zważni, gotowi“, obrazki na murach z samolotami, czołgami, pancernymi i kierunkowymi odwrót zdezorientowanych oddziałów polskich, nie ulega wątpliwości, że Wrzesień był groteskowy.

Tragizm? Aż za wiele było tragizmu w kontraście między patriotycznym bohaterstwem żołnierza, a łajdakem przygotowanymi planami operacyjnymi, w wydaniu bezbronnej i obezwładnionej narodu na pastwę hitlerizmu.

Optymizm? Niewątpliwie tak, skoro dalszy bieg wydarzeń historycznych przyniósł Polsce wyzwolenie społeczne i narodowe. Między tymi sprzecznymi pojęciami pióra pisarza musi lawirować jak spada wytrawnego i zręcznego szermierza, by nie omijając historii oddać rzecz w jej realistycznych proporcjach. Trzeba rzetelnej wiedzy historycznej, by sprzecznym postaw emocjonalnych wystąpiły jako sprzeczności klasowego społeczeństwa, by stały się wy tłumaczone i zrozumiałe. Podjęcie tego zadania oczekiwaliśmy właśnie od pisarzy i dobrze się stało, że podjęli je ci, od których ogół czytelnicy mógł się spodziewać głosu o przekonującym brzmieniu.

„Wrzesień“ i „Dni kłeski“ to są książki różne. Putrament napisał powieść wielowątkową o ambiwalnych politycznych syntez, Zukrowski zobaczył wrześniowe dni oczyma bezpośredniego uczestnika kampanii. Jak sam się wyraził, dał za tło do książki Putramenta, obejmującej fragmenty bojów armii Na-

rew. Istotnie, obie książki uzupełniają się doskonale. We „Wrześniu“ jest szeroki gest zaglądającego we wszystkie szpary, we wszystkie kąski kamarki pisarza, nie nie uchroni się przed jego smagającym do krwi bičem. W „Dniach kłeski“ jest tragiczna niewiedza obalających, rwących się do boju żołnierzy, są dzieje zaprzeczające możliwości tego zrywu, jest wąski odcinek frontu bez gazet i łączności, zdanego na własne siły, własną mądrość i własną przemysłowość w uzyskiwaniu wiadomości nie tylko z szerokiego świata, ale nawet z sąsiednich obszarów Polski. Mimo to Zukrowski z politycznej wiedzy nie rezygnuje, wie, że bez niej nie napisze prawdy. I ta polityczna wiedza przesyca klimat powieści, tkwi w odpryskach, w przygodnych epizodach, urwanych dialogach.

W opowiadaniach z tomu „Z kraju milczenia“, poświęconych fragmentom Września, pisarz starał się znaleźć wydarzenia, niecodzienne, wyjątkowe, zawiązał akcję, spiętrzał konflikty, by pokazać zarówno barwną awanturę wojacką, jak wystrzone wśród swistu kul para-

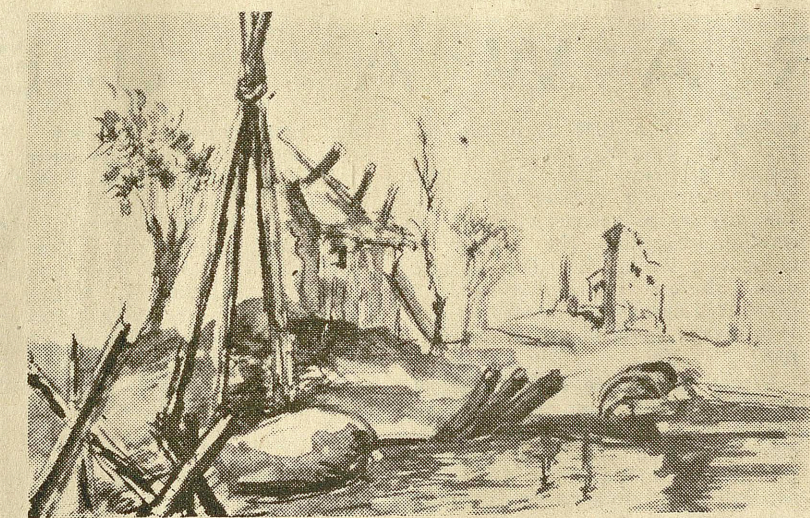
działów i najmniej oczekiwany rozkaz odwrotu. Można być świadkiem palenia listów od żołnierzy, którzy polegli, usłyszeć po raz pierwszy piekące słowo „zdrada“ i złowrobnę słowo „kłeska“. Uczestniczyć w trudach wojennej wędrówki, szarpać się między przynęceniem, a ustawicznie wracającą nadzieją, obserwować rozprezenty armii autorytetu do wództwa, zawiadujące próby koncentracji armii i kurczącą się mapę, demoralizację wyższych szczebli i wytworne zagraniczne wino w transportowanej z narażeniem życia pancernych kaset, zawierającej rzekomo tajne i ważne dokumenty.

Obraz swój buduje Zukrowski na sprzecznościach, nie stara się bynajmniej o jednolitość nastroju. Poczucie odpowiedzialności za losy ojczyzny i brak zaufania do dowódców sprzeczności te warunkują. Wrzesień nie może być tematem heroicznej epopi nastrojonej na ten ton, który pobrzmiewa w agitacyjnym wierszu Broniewskiego „Bagnet na broń“. Właśnie dlatego, że patriotyczny zryw narodu został zduszony w samym zarodku przez przywódców, kosmopolitycznych graczy bez oj-

„Dni kłeski“ zyskują dodatkowy rumieniec, nowe konflikty. Konflikty, jak zwykle u Zukrowskiego, nie wypunktowane ad oculos, tkwiące w powieści raczej potencjalnie, nie sygnalizowane każdorazowo pozostałymi wyrażeniami niechęć do intelektualnych spierć, do bohaterów wyposażonych w samowiedzę. Ceni za to odruchy biologiczne i emocjonalne, lubi podpatrywać człowieka, którym rządzi naturalne, szczerze, nieskazywane namysłem i spekulacją myślową imperatyw. Dlatego tak wiele w książkach Zukrowskiego konfliktów sytuacyjnych, tak mało powiast fabularnych. A tam, gdzie są te powiazania, nierazdo wypadają one sztucznie, beztreściwie, jak spotkanie Nowosada z żoną w cukrowni Woźnicz, poprzedzające jego wyjazd do Związku Radzieckiego w celu kontynuowania walki. Miłość do Aliści, która pozostanie w kraju, będzie dla Nowosada dodatkowym czynnikiem osobistym, budzącym nienawiść do fałszyw i potęgających wole zwycięstwa, symbolem związku z krajem. Ale w opisie samej miłości, pełniającej w powieści tak ważną funkcję, zesłaliśmy się pisarz ku fałszywie pojmowanej codzienności, rezygnując z ambicji skomplikowania nowego indywidualnego odcienia — i to mu trzeba wziąć za złe.

Jest w „Dniach kłeski“ pośpiech i niecierpliwość. Wydarzenia depczą sobie po piętach, sytuacje zmieniają się jak szkiełka w kalejdoskopie. Ile jest w tych sytuacjach prawdy, wie każdy, kto pamięta słoneczne dni i jasne noce tamtego września. Pisarz nie przedstawia nam Nowosada, kreśli typy żołnierzy: uczciwego i koleżeńkiego podchorążego Babickiego, wygodniś, oportunisty i tchórza Mulewicza, zapobiegliwego porucznika Świąstkiego, kaprala Górnickiego, który ma serce na wierzchu, liczne postacie szeregowców. Z pasją prezentuje nihilistę porucznika Gembarskiego, który rozbijając się jak widmo wolantem w przefrontowej okolicy przestał wierzyć we wszystko z wyjątkiem niepowściągliwego karabinu przeciwpancernego z długą kulą. Niezapomniane są opisy batalistyczne, obrazy zakurzonych i smutnych dróg odwrotu siczonych seriami z niemieckich samolotów, sceny pięknych i okrutnych śmierci, przy których nie można się dłużej zatrzymać, bo już nagli wojenna potrzeba. To odpryski wysokiej próby, układane w przejrzystą mozaikę, uświetnione walorami wspaniałej zmysłowej pamięci Zukrowskiego, dzięki której leśna okolica północno-wschodniej Polski w jej niepowtarzalnym uroku pewnej soczystej jesieni staje jak żywa przed czytelnikiem z wszystkimi barwami, dźwiękami, zapachami.

Mimo jednak widocznego pociągu Zukrowskiego do bezfabularności, do żywiołowej, epizodycznej narracji, widać w „Dniach kłeski“ staranie o celową organizację faktury powieściowej. Wycinkowość swojej relacji stara się pisarz zrekompensować przygodnymi spotkaniami, wyhuskując nowe treści z rozmów, krótkich jak mglenie oka wycinków losów ludzkich. Utrwala w pamięci spotkanie z nauczycielem Chojackim, który mimo ułomności rwie się do szeregu, marzy o sprawiedliwej Polsce z odzyskanymi ludźmi i rozbudowanym szkolnictwem — i ginie od kul policjanta wskutek bezsensownego podejrzenia o dywersję. Dla kaprala Tomika Polska streszcza się w hali łódzkiej przedziału, w życiu proletariatu. Stosunki panujące na Śląsku przejmująco oskarżają uciekinierzy — górników. O tolerowanym przez polskie władze panoszeniu się Niemców na Pomorzu, szukających nóż w plecy polskim oddziałom, o powiadaniu przystojny piechur. Ta metoda przedstawia się do powieści relacje o ucieczce Rydza, dowódcy i rządu... Ale nie zawsze potrafi Zukrowski (dokończenie na str. 7)



Rys. A. Rafalowski

doksy życia. Od tamtego czasu wiele zmieniło się w Zukrowskim. Ale zmieniając swoje sądy o ludziach i ich konfliktach, o świecie i kierunku, w jakim kula ziemska toczy się naprzód, Zukrowski pozostał wierny swej pamięci i pisze w dalszym ciągu najchętniej o tym, co sam zobaczył i przeżył. Nad mało którym z naszych pisarzy pamięć ma tak silną władzę. Ogranicza ona zasięg jego pióra i domaga się nieskrępowanej w doświadczeniu wyobraźni wszędzie tam, gdzie rozpoczyna się królestwo autentycznych przeżyć. I to jest cecha „Dni kłeski“ z nieodpartą siłą narzucająca się czytelnikowi.

Jaki otrzymujemy rezultat? Książkę — wielki reportaż, zapiski z placu boju, miazgę niemal bezfabularną. Towarzyszymy Antoniemu Nowosadowi w jego wojennych perypetiach po to, by czyniły oczyma spoglądać na dni kłeski. By wspólnie z nim gniewać się na karygodne zaniedbania dowództwa, przeżywać zapał i ofiarną żołnierską radość i dume chwilowych przewag, cierpieć gorączkę odwrotu i gorzką bezsilność człowieka, nie dostrzegającego pełnego przekroju wydarzeń. W tym celu bohater musiał stać się przeciętnym, w miarę wrażliwym, uczciwym i szlachetnym i w miarę ograniczonym. Właśnie taki jest Antoni Nowosad, młody podporucznik powołany do Rożanu, by przygotować stanowiska artylerystyczne. Z jego pozycji można zobaczyć dużo: bezstrasną atmosferę panującą w dowództwie i przestarzały sprzęt bojowy, opieszale postępujące przygotowania obronne i fatalną sytuację międzynarodową — czyli politykę Becka w drobnych konkretnych i w szerokiech wnioskach. Można przeżyć pierwsze natarcie wroga, pierwsze sukcesy polskich od-

ALEKSY TOLSTOJ

ROSYJSKI CHARAKTER

ROSYJSKI charakter! Może to zbyt wiele zapowiadający tytuł jak na krótkie opowiadanie. Nic na to poradzę — chcę z wami pomówić właśnie o rosyjskim charakterze.

Rosyjski charakter! Jak też go ukazać? Czy opowiedzieć mam o czynach bohaterów? Tyle ich jest, że głowę można stracić rozważając, któremu dać pierwszeństwo. Uratowałem mnie jeden z moich przyjaciół niewielką opowieścią z własnego życia. Nie będę mówił o tym, jak bił hitlerowców, choć pierś ma pokryta orderami i nosi złotą gwiazdkę. To człowiek prosty, skromny, zwyczajny — kołchoźnik z nadwołżańskiej wsi pod Saratowem. Ale wyróżniał się wśród wielu mocną, a kształtną budową ciała i urodą. Zapamiętałem go na niego, kiedy wyłaniał się z wieżyczki czołgu — istny bóg wojny! Zeskakiwał na ziemię, zdejmował z wilgotnej czupryny hełm, wycierał szmatką zasmoloną twarz i zawsze uśmiechnął się przy tym całym sercem.

Na wojnie, kręcąc się bezustannie w promieniu śmierci, ludzie stają się lepsi, oblaży z nich wszelką błądź, nierzadko spalona skóra po udarze słonecznym, i zostaje w człowieku samo jądro. Oczywiście, u jednego mocniejsze jest, u drugiego słabsze, ale i ci, w których jądro jest skażone, podciągają się, każdy chce być dobrym i wiernym towarzyszem. Ale mój przyjaciel, Jegor Dremow, i przed wojną nienaganny był obywatel, szanował niezmierne i kochał matkę swoją, Marię Polikarpowną i ojca, Jegorę Jegoryczę. „Ojciec mój to człowiek stateczny; po pierwsze ma szacunek dla siebie. Dużo rzeczy, powiada, zobaczysz na świecie, syneczku, i zagranicę poznasz, ale z tego żeś Ruski bądź dumny...”

Dremow miał narzeczoną, z tej samej wsi nad Wołgą. O narzeczonych i żonach wiele się u nas mówi, zwłaszcza kiedy front cichnie, na dworze ziąb, w ziemiance cni się światło, kołchozowie w piecyku, a ludzie sobie podjedli. Gadają wtedy, że aż uszy wieńdą. Zaczyna, naprzykład, zastanawiać się: „Co to jest miłość?” Jeden powiada: „Miłość powstaje na bazie szacunku...” Drugi: „Kocha podobnego, miłość to nałóg, choć nie jest tylko żoną, ale i rodziców, a nawet zwierzęta...” — „Pfu, co za bzdury!” — mówi trzeci — miłość, to kiedy wszystko się w tobie gotuje, chodzisz nieczym pijany...” Godzinami potrafią tak filozofować, aż dopóki starszyna nie wtrąci się i głosem nie znajomym sprządną. Jegor Dremowa, widocznie, rozmowy te krępowaly i tylko raz po raz napomykał mi o narzeczonej — to naprawdę pierwszorzędna dziewczyna i jak już powiedziała, że będzie czekać do czasu, choćby on miał wrócić na jednej nodze...

Swoich czynów bojowych również nie lubił rozgłaszać. „O takich rzeczach nie chce się wspominać!” Zaspękał się i palił papierosa. O wojny i działania jego czołgu dowiadywałem się z opowiadań żołnierzy. Szczególnie umiał zadziwić słuchaczy kierowca Czuwilew.

— „Ledwo, rozumiesz, weszliśmy do akcji, patrze, a tu wyłazi z na-parku...” — Towarzysz lejtnant —

wołam — tygrys!” — „Naprzód — on woła — pełnym gazem!” — „Ja zaraz dawaj maskować się po sośniku — to w prawo, to w lewo...” A tygrys wodzi łufą jak ślepiec, uderza i spudłował... A towarzysz lejtnant jak nie rąbnie go w bok — bryzgi leci! Jak nie walnie w wieżyczkę — aż ryja zadziła... Lupnął go trzeci raz — tygrysowi że wszystkich szpar dym kłębami — i ogień poleciał na sto metrów do góry... Zalogę wyłaził z zapasowym lukiem... Wanka Lapszyn przejechał się kulamiotem — tamci leżą i tylko nogami drgają... Wiele drogie, rozumiesz, mamy już wolną i w pięć minut wpadamy do wsi... Tam już sam nie wiedziałem... Faszystów wieją gdzie mogą... Obrzydliwie po prostu, niektórzy nawet bez butów wyskakują i w nogi. Gną do stodoły. Towarzysz lejtnant daje mi komendę iść na stodołę. Odwróciłem się do niego, a na pełnym gazie wjeżdżam w stodołę... No, mówię ci! Zachrzęślił o pancerz belki, deski, cegły, faszystów schowani pod dachem... A ja jeszcze raz macham — reszta ręce do góry — i Hitler kaput...”

Tak wojował lejtnant Jegor Dremow, aż dopóki nie zdarzyło się z nim nieszczęście. W czasie pogromu kurskiego, kiedy hitlerowcy już spływali i linia ich drgnęła, w jego czołgu — na wzgórkach, na pszenicznym polu rąbnął pocisk. Dwóch ludzi z zalogi zabiło na miejscu, a od drugiego pocisku czołg zapalił się. Kierowca Czuwilew, który wyskoczył przednim lukiem, wrócił na maszynę i zdołał wyciągnąć lejtnanta — był nieprzytomny, kombinizon na nim płonął. Ledwo Czuwilew odcignął go na bok, czołg wyleciał w powietrze z taką siłą, że wieżyczka cisnęła na jakie pięćdziesiąt metrów. Czuwilew rzucił garściami rozmiękłą ziemię na twarz lejtnanta, na głowę, na mundur, aby zadusić ogień. A potem pełził z nim od leju do leju, aż do punktu opatrunkowego... „Dlaczego włokłem go wtedy?” — mówił Czuwilew. — Bo słyszałem jak bije w nim serce...”

Wyżył Jegor Dremow i nawet nie utracił wzroku, choć twarz jego była tak zwęglona, że miejscami wylazły kości. Ośmiem miesiącami przeleżał w szpitalu, robiono mu jedną po drugiej operacje plastyczne, od-tworzono nos, usta, powieki i uszy. Po ośmiu miesiącach, gdy zdjęto opatrunki, spojrzął na swoją, a teraz już nie swoją twarz. Pielęgniarka, która podała mu małe lusterko, odwróciła się i zapłakała. Oddał jej zaraz lusterko.

— Bywa gorzej — powiedział — z tym można żyć.

Skreślił na przełaj do domu. Grzęzając po kolana w śniegu pochylił się do okienka i ujrzał matkę — przy stole, w młym świetle przykrytej lampki, szykowała wiececzkę. Jak zawsze w tej samej chusteczce, do-bra, łagodna, opanowana. Zestarała się, ciekła ramiona sterczały... „Ach, żebym to wiedział! — co dnia trzeba być było pisać o sobie, choć że dwa słowa...” Postawiła to jado bylejakie — miskę mleka, kęs chleba, lyżki mleka, solniczkę — i stanęła przed stołem zadumana, chude ręce złożyła na podłokiu. Patrząc przez okienko na matkę, Jegor Dremow

zrozumiał, że nie wolno przestraszyć jej, nie wolno by rozpętać zadrzała twarz starowiny.

Dobrze więc! Otworzył furtkę, wszedł w podwórko, na genek, zastukał. Matka odezwała się zza drzwi: „Kto tam?” Odpowiedział: „Lejtnant Gromow, Bohater Związku Radzieckiego”.

Serce zaczęło mu walić — oparł się ramieniem o uszak. Ale nie, nie poznała matka jego głosu. Sam zresztą jakby po raz pierwszy usłyszał swój głos, zmieniony po wszystkich operacjach — chrypliwy, głuchy, niewyraźny.

— A czego ci trzeba, kochany? — zapytała.

— Poklon przywiozłem Marii Polikarpownie od syna, starszego lejtnanta Dremowa.

Wtedy otworzyła drzwi i wypadła do niego, chwytając za ręce:

— Żyje Jegor mój, żyje? Zdrowo? Ach, milekni, wejdź do izby.

Jegor Dremow usiadł na ławie przy stole, na tym samym miejscu, gdzie siadywał, kiedy jeszcze nie sięgał do ziemi, a matka, bywało, gładząc jego kędzierzawą głowę,



Rys. J. Nieprincew

mówiła: „Jedź, ptaszyno!” Zaczął jej opowiadać o synie, o sobie samym, szczegółowo, dokładnie, o tym, że je i pije i niczego mu nie brak, zawsze zdrow, wesół, a potem — krótko — o bitwach, w których brał udział ze swym czołgiem.

— A powiedz ty mi — czy na wojnie strasznie? — przerwała, patrząc mu w twarz ślepy, nie widzącymi go oczyma.

— Pewnie, że strasznie. Ale człowiek przywyka.

Przyszedł ojciec, Jegor Jegorycz. Też posunął się w ciągu tych lat — bródka miała jakby mąką osypaną. Spoglądając na gościa otrzymywał na progu schodzone walonki, bez po-piechu rozkładał szję, zdjął półszubek, podszedł do stołu, przywitał się podaniem ręki — tej znajomej, dużej, sprawiedliwej, ojcowiskiej ręki! O nic nie pytając, gdyż i tak było jasne skąd tu się bierze gość przy orderach, usiadł i również zaczął słuchać napewno przymknawszy oczy.

Im dłużej siedział lejtnant Dremow nierozpoznany i opowiadał o sobie i nie o sobie, tym trudniej mu było ujawnić się — niepodobna już wstać i powiedzieć: matko, ojciec, poznajcie mnie wreszcie, potworal... I dobrze i boleśnie mu było przy stole rodzicielskim.

— Będziemy chyba wiececzka, matko, przyrządź coś dla gościa. — Jegor Jegorycz otworzył drzwiczki szafki — staruszek, gdzie w kątku na lewo leżały w pudełku po zapalniczkach haczyki do wędek — leżały tam nadal — i stał imbryk z odbitym dźwiękiem — stał nadal — gdzie pachniało cebulą i okruszynami chleba. Jegor wydobyl flaszeczkę z wodką — starczyło tylko na dwa kieliszki — westchnął, że nie można już dostać. Usiedli do wiececzki jak za dawnych lat. Dopiero przy jedzeniu starszy lejtnant Dremow zauważył że matka bacznie jakiś śledzi ruchy jego ręki trzymającej łyżkę. Uśmiechnął się, matka podniosła oczy, twarz jej drgnęła boleśnie.

Pogadali o tym i owym, jaka będzie wiosna; czy ludzie nadadzą z

siewem i czy tego lata można spodziewać się końca wojny.

— Dlaczego, Jegor Jegorycz, myślicie, że tego lata trzeba spodziewać się końca wojny?

— Naród rozsierzdził się — odparł Jegor Jegorycz — przez śmierć przeszli, teraz go już nie zatrzyma, Niemcom — kaput.

Maria Polikarpowna zapytała:

— Nie powiedzieliście, kiedy mu dadzą urlop — żeby mógł do nas przyjechać. Trzy lata go nie widzieliśmy, wydorósł chyba, waga zapaści... Tak każdego dnia chodzi koło śmierci — chyba i głos zrobił mu się grubym...

A tak... i jak przyjdzie, może go nawet nie poznać — rzekł lejtnant.

Spanie przygotowane mu na piecu, w którym pamiętał każdą cegłę, każdą sparę w ścianie z okraglaków, każdy sek w pułapie. Pachniało wywarą skórą i chlebem —

owym zacisnem domu rodzinnego niezapomnianym i w godzinę śmierci. Wiatr marcowy poświstywał nad dachem. Za przegrodą pochrapywał ojciec. Matka przewracała się z boku na bok, wzdychała nie spała. Lejtnant leżał nieruchomo, twarz ukrył w dionii: „Czyżby nie poznała? Mamo, mamo...”

Rankiem zbudziło go potrzaskiwanie szcapan, matka ostrożnie rozpałała w piecu; na przeciagniętym sznurku wisiały świeżo wyprane jego onuczki, przy drzwiach stały wymyte buty.

— Lubisz pszenne blinki? — spytała.

Nie odpowiedział od razu, zlął z pieca, włożył bluzę, zapiał pas i bosso usiadł na ławie.

— Powiedźcie, czy mieszka u was we wsi Katia Małyszewa, córka Andrzeja Stiepanycza?

— To nasza nauczycielka, w zeszłym roku skończyła kursy. A chcesz się z nią zobaczyć?

— Syn wasz prosił, żeby koniecznie przekazać jej pozdrowienia.

Matka posłała po nią dziewczynkę sąsiadów. Lejtnant nie zdążył nawet się obuć, gdy przybiegła Katia Małyszewa. Wielkie, szare jej oczy błyszczyły, brwi latały z wyrazem zdumienia, na policzkach kwitł radosny rumieniec. Gdy odrzuciła z głowy na szerokie ramiona swą szydełkową chustkę, lejtnant aż jęknął w sobie: pocałować by te ciepłe, jasne włosy... Taką zawsze ją widział — świeżą, czulą, wesolą, a tak śliczną, że skoro tylko weszła — rozziłocła się cała izbą...

— Przywieźliście pozdrowienia od Jegora? (Stał plecami do światła i tylko przechylił głowę, gdyż nie mógł mówić). A toż ja czekam na niego dniami i nocą, tak mu właśnie powiedzcie...

Podeszła zupełnie blisko do niego. Spojrzała i, jakby ją kto nagłe trącił w pierś, cofnęła się przelek-nione. Wtedy mocno sobie postanowiła, że odejdzie — dziś jeszcze.

Matka napiekła pszenicznych blinów z prążonym makiem. Znowo opowiadała o lejtnancie Dremowie, tym razem o jego czynach bojowych — mówił z okrucieństwem i nie patrząc na Katie, by nie widzieć na jej wzdychanie twarzy odbicia swego potwornego kalestwa. Jegor Jegorycz zaczął się starać o konie z kołchozu, lecz on poszedł na stację piechoty, tak jak przyszedł. Był bardzo zgnębiony wszystkim co zaszło i, przystając, aż się uderzał dionią o twarz, — powtarzając — zachrypłym głosem: „I co teraz robić?”

Wrócił do pułku, który uzupełniał się daleko za frontem. Towarzysze walk powitali go z taką szczera radością, że opadło mu z serca to, co nie dawało mu spać, ani jeść, nie dawało oddychać. Postanowił, by matka jak można najdłużej nie wiedziała o jego nieszczęściu. Co zaś do Kati — wyrwie tę drżającą z serca.

Po paru tygodniach przeszedł od matki list:

„Witaj, syneczku mój nienapartzony. Lękam się pisać do ciebie, sama nie wiedząc już co mam myśleć. Był u nas jeden człowiek od ciebie — dobry bardzo człowiek, tylko na twarz szpetny. Chciał pobyc



Rys. J. Łukomski

u nas, ale zebrał się jakoś od razu i pojechał. Od tej pory, syneczku, nie śpię nocą — zda mi się, żeś to ty przyjeżdżał. Jegor Jegorycz laje mnie za to — całkiem, powiada — zwichnął ci się rozum, stara: niechby to syn nasz był, toż by się odkrył... Po co mu kryć się, jakby to był on — taką twarzą, jak u tego, co do nas przyjeżdżał, chlubił się trzeba. Przekona mnie Jegor Jegorycz, a serce matczyne wciąż swoje: to on, on był u nas!... Człowiek ten spał na piecu, płaszcz jego wyniosłam na dwór, chcąc wyciszyć — i przypadłam do płaszcza i płaszcze — to on, to jego!... Jegorku, napisz na miłość boską, oświeć ty mnie, co to było? Czy już mi naprawdę rozum się zwichnął?”

Jegor Dremow pokazał list mnie i opowiedział swe dzieje odierając oczy rękawem. Ja na to: „Charakter, powiada, spotkały się! Durny, ty, durny, pisz co przeded do matki, proś przebaczenia, nie przyprawiaj o pomieszenie... Bardzo jej twoja uroda potrzebna! Takiego jeszcze bardziej tylko będzie kochać!”

List wysłał tegoż jeszcze dnia: „Droży rodzice, Maria Polikarpowna i Jegorze Jegoryczu, przebaccie moją ciemnotę, rzeczywicie u was ja byłem, syn wasz...” itd. itd. — cztery białe stronicie drobnym mactkiem — zapisały i dwadzieścia, gdyby mu tylko pozwolić.

Po niejakiem czasie staliśmy z nim na poligonie — przybiega żołnierz i — do Jegora Dremowa: „Towarzyszu kapitanie, wzywają was...” „A żołnierz, choć stoi na baczność według wszelkich przepisów, wyraz ma taki jakby właśnie zbierał się wypić. Idziemy do wioski, podchodzimy do chaty, gdzieśmy z Dremowem mieszkał. Widzę, że z nim nie w porządku — wciąż pokaszuje...” „Tankista, myślę, tankista, a tu — nerwy”. Wchodzimy do izby, on idzie przodem, i słyszę: „Mamo, to ja, mamo!...” „I widzę, jak drobna taka staruszka przypada mu do piersi! Rozglądam się, a z nią jest i druga kobieta. Daje słowo honoru, są z pewnością różne piękności, nie jedna ona przecież, ale ja takiej nie widziałem.

Tak, to jest właśnie rosyjski charakter! Ludzie, zdawałoby się, zwyczajni; a niech przyjdzie srogie nieszczęście — powstaje w nich siła olbrzymia: piękno człowiecze.

ALEKSY TOLSTOJ

Tłumaczyła IRENA TUWIM

HENRYK WANDOWSKI

DRUGA NA OCEAN

SKOMPLIKOWANA i zawiła była droga twórcy jednego z najwybitniejszych radzieckich prozaików współczesnych, Leonida Leonowa, którego wczesna powieść z r. 1924 p.t. „Borsuki” omawiana była niedawno na łamach „Wiś”. Recenzent wskazywał przede wszystkim na obciążenia ekspresjonizmu i naturalizmu, które skrzywiły tendencję ideową powieści i zamazały przejrzysty obraz układu sił klasowych i walki w rewolucyjnej wsi radzieckiej. Obciążenia te, występujące w innych wczesnych utworach Leonowa silniej nawet niż w „Borsukach”, były przyczyną, dla której przechodziły one przez gęste sito klasowej cenzury reżimu sanacyjnego i ukazywały się przed wojną w polskich przekładach. Przyjmowane były nawet może z pewną złośliwą satysfakcją przez reżimową krytykę, która z upodobaniem lubowała się w artystowskich „smaczkach” niedojrzałych utworów Leonowa. Nie dziwnego, że nieprzejmowanie zaskoczyła ją „Droga na ocean” (1935, w tłum. polskim ukazała się w latach 1936/7), przed którym wznowiona w dawnym przekładzie przez Państwowy Instytut Wydawniczy*). Przed wojenną krytyką „oficjalną” przylegała ją z nieukrywana złością i niechęcią, napastliwie dyskwalifikując jej ideową wartość. Nie ma paradoksu w stwierdzeniu, że był to niewątpliwie poważny sukces Leonowa.

„Droga na ocean” — daje szeroki przekrój społeczeństwa radzieckiego w jego ideowym rozwoju i ukazuje

wspaniałe perspektywy komunistycznej przyszłości. W ten sposób u porczywa walka pisarza o nowe oblicze własnej twórczości zakończyła się wielkim sukcesem.

Droga do komunizmu wiedzie nie tylko przez walkę o produkcję, osobistą troskę każdego człowieka radzieckiego o nieustanny rozwój gospodarczy, bohaterstwo pracy socjalistycznej. Droga ta prowadzi także przez walkę z własnym „ja”, z resztkami starej jeszcze mentalności, z przejawami niedojrzałości, „dobroliwego” oportunistyzmu.

Aleksy Nikiticz Kurilow jest starym robotnikiem i doświadczonym działaczem bolszewickim, kilkakrotnie zsyłanym na katorgę. Za czasów carskich prześladował go przez izby sądowej, generał Protoklitow, w okresie kontrrewolucji podczas jednego z wielu ataków wroga, omalże nie został zabity przez jego syna, oficera białogwardyjskiego, Gleba Protoklitowa. Kurilow po zdławieniu kontrrewolucji został naczelnikiem wydziału politycznego kolei wołgowskiej.

Interesujący jest zyciorys Gleba. Gdy kontrrewolucja została stłumiona, ten oficer białogwardyjski nie ujawnił się. Był zdecydowanym wrogiem socjalizmu, ale ponieważ przewidywał, że nowy ustroj zanosi się na dłuższą metę, czuł potrzebę chwilowego „przestawienia się”. Z wykształcenia był technikiem, a celowo nie dał się poznać jako wysokokwalifikowany fachowiec. Rozpoczął pracę jako zwykły robotnik. Zmyślił fałszywy zyciorys, w którym zatęszował swoje pochodzenie klasowe i działalność polityczną. Pracując

na kolei szybko dał się poznać jako „utalentowany” robotnik; wyniki jego pracy tłumaczono sobie jako przejaw uzdolnień i rosnących możliwości proletariatu. Szybko awansował i wreszcie został naczelnikiem wydziału parowozowni w Czeremszańsku. Tutaj spotkał się drugi raz w swoim życiu z Kurilowem.

Jak powinien postąpić naczelnik wydziału politycznego wobec człowieka na odpowiadającym stanowisku, który nie ujawnił faktu, że brał udział w kontrrewolucji? Pytanie w zasadzie zbędne, gdyż i autor formułuje je tylko między wierszami — zdemaskować go. Sprawa nie była jednak tak prosta dla Kurilowa. W okresie rewolucji służył jej z całym oddaniem, obecnie jednak obok pa-sji pracy dla socjalizmu pojawiło się coś innego, co pasję tę znacznie osłabiło, ale z czego Kurilow absolutnie nie zdawał sobie sprawy. Jego silnie rozwinięta indywidualność roznamietniało pragnienie poznania ludzi, z którymi się stykał, zgłębiania ich charakterów, bynajmniej jednak nie z określonych pozycji światopoglądowych, było to bowiem „obiektywistyczne” pragnienie dla zaspokojenia samego pragnienia bez jakichś głębszych racji ideowych, które by je uwarunkowały. Kurilow jest postacią pozytywną i subiektywnie ta namietność zgodna była z jego charakterem. Ale że ten indywidualizm zbyt wygórowany, bo swoim zasięgiem wpływający nie tylko na działanie i losy tej postaci — był obiektywnie szkodliwy, świadczy cały jego stosunek do Gleba.

Kurilow aranżuje rozmowę, z której nie wyciąga żadnych wniosków, mimo wyraźnego zdemaskowania Gleba. Zaczyna go interesować charakter przeciwnika, komplikacje jego psychiki. Podziw dla żelaznej

konsekwencji Gleba, jego wytrawnej „gry w ciuciubabkę” gorował w Kurilowie nad obowiązkiem zdemaskowania wroga. Wreszcie Kurilow ustępuje — niezależnie od swej woli — z pola walki, zaatakowany chorobą, która przynosi mu śmierć. Dawałoby się więc, że sytuacja Gleba jest dla jego interesów „wprost znakomita”. A jednak zostaje on zdemaskowany, bo taka jest logika życia radzieckiego. Chociaż dzieje się to częściowo przez przypadek, to właśnie ów — szeroko obudowany i umotywowany w powieści — przypadek, jest jak mówi przy innej okazji w jednej ze swych sztuk dramaturg radziecki Afionogenow — „szczególną potrzebą konieczności”. Ta konieczność, wg. formuły klasików marksizmu, zawsze utworuje sobie drogę, często poprzez szereg przypadków.

Zasadniczy wniosek, jaki wysnuwa autor z szeroko tu przedstawionego konfliktu, to konieczność ustawicznej czujności. I to czujności pojętej w jak najszerszym tego słowa znaczeniu. A więc odnoszącej się nie tylko do otoczenia, ale i czujności wobec samego siebie, wobec własnego „ja” człowieka. Bo dlaczego Kurilow nie zdemaskował Gleba? Tylko dlatego, że ten stary, doświadczony komunista folgował sobie coraz bardziej i poddawał się swojej własnej, ale obiektywnie szkodliwej namietności patrzeć na ludzi przez pryzmat ich niecodziennych charakterów, usuwając na dalszy plan ich stosunek do nowej rzeczywistości.

W powieści Leonowa doliczymy się około dwudziestu pierwszo- i drugoplanowych postaci, których losy zalegają się w sporej liczbie przeprowadzonych wątków. Nie posiada ona jakiejś przewodniej fabuły, wokół której by się rozwijały. Nawet trudno selekcjonować je na główne i podrzędne; wszystkie w realizacji pisarskiej traktowane są

z tą samą uwagą, czy to będzie walka o zwiększenie przewozów i bezpieczeństwa na kolei, czy konflikt Kurilowa z Glebem; sprawa Lizy — fertycznej aktorki marzącej o sławie wielkiej artystki, a później wzorowej zagadnienie narodowości ZSRR pokazane na przykładzie brygady młodzieżowej z Tatarstanu; całe partie książki poświęcone wędrówkom autora z Kurilowem po Oceanii — przyszłym świecie komunizmu. Celowo wylizym tu wszystkie ważniejsze zagadnienia, aby zorientować czytelnika w bogactwie problematyki „Drogi na ocean”.

Talent Leonowa wyraża się tu przede wszystkim w różnorodności charakterów precyzyjnie zindywidualizowanych, w wartkim tempie narracji, co jest szczególnie godne podkreślenia ze względu na liczne dygresje i „skoki” w przeszłość Rosji i przyszłość Oceanii; w niezwykłej subtelności obrazowania antagonicznych i nieantagonistycznych konfliktów ideologicznych.

Trzeba przyznać, że książka nie jest łatwa do interpretacji i w całokształcie może być właściwie zrozumiana przez dobrze przygotowanego czytelnika. Podkreślamy, że jest to powieść głęboko nasycona analizą psychologiczną postaci. Nie chodzi tu oczywiście o jakiś bezpłodny psychologizm mieszczańskiej powieści, w której bohaterowie rozdzielają rozdziałem zajmując się jałowym hamletyzowaniem, a o psychologię ludzi o określonym obliczu ideologicznym, działających w określonym historycznym czasie. Tylko w ten sposób należy podesić do książki Leonowa, jako powieści psychologicznej.

Jak skomplikowane są sprawy bohaterów powieści, niechaj świadczy o tym raz jeszcze przykład Kurilowa. Ten stary, wypróbowany działacz partyjny nie docenia, a raczej nie dostrzega błędności swojej postawy w ocenie i stosunku do ludzi. Z aktywnego działacza przekształcił

się w dobroliwego staruszka. Sam jednak tego nie dostrzegł.

Myśli Kurilowa całkowicie pochłonięte są budownictwem przyszłości. Socjalizm rozumie lepiej niż przeciętny obywatel i z największą rozkoszą poddaje myślą w przyszłość, starając wyobrazić sobie komunizm. Nie jest idealistą, ale romantykiem czasu, który nadchodzi.

Najszczęśliwsze chwile dla autora i Kurilowa, to podróże po Oceanii. Oceania, to nowy świat, w którym powstają już nie tyle gigantyczne, co monumentalne hydrostacje, gdzie wody śródziemnomorskie użyźniają jałową Saharę, a podróże międzyplanetarne przestają być sensacją. Oceania, to także nowi ludzie. „Wydawało się nam, że rodzą ludzki procy, a niech przyjdzie srogie nieszczęście — powstaje w nich siła olbrzymia: piękno człowiecze.”

Piękna jest ta wizja nowego świata, urzekający jest obraz nowych ludzi. Wspaniała ta i powieść o walczącym dziś socjalizmu i zwycięskim jutrze komunizmu.

Henryk Wandowski

*) Leonid Leonow, Droga na ocean. Przekład autoryzowany Andrzeja Stawara. PIW. 1951, t. I i II.

**) cyt. za Malanie Kierczyńska z książki „Spór o realizm” na str. 120.

REFORMA OBROTU TOWAROWEGO NA WĘGRZECH

(dokończenie ze str. 3)

skoro chłop malarolny napychał teraz zaczął brucha, a wszystkie dawne lata głodu, a równocześnie coraz częściej i powszechnie wychodzi na rynek zakupu towarów konsumpcyjnych.

W nowej sytuacji Węgry przemysłowych niewspółmierność między rosnącym popytem a rosnącą podażą musiała się początkowo zastrzyż. Wynikała bowiem ze zmian strukturalnych, Chłopsko, które dotąd już a i dalej kupowało również towary żywnościowe jak cukier, tłuszcz, mięso itp. nie dotrzymało kroku zapotrzebowaniu na produkty rolne miast i klasy robotniczej, szybko powiększających się liczebnie. Z drugiej strony gwałtowny rozwój przemysłu w wielkiej części objął rekonstrukcję, która była i jest jeszcze w toku, a która tworzy przemysł ciężki, fundament gospodarki narodowej, dlatego dotychczas nie wpływa jeszcze na gwałtowny rozwój przemysłu konsumpcyjnego.

Tę nową sytuację chciał — tak jak i u nas — wykorzystać wróg klasowy, kulak i spekulanci. A miał po temu dwie dodatkowe jeszcze sprzyjające okoliczności.

Pierwsza — wywodziła się z układu cen na towary rolne w pierwszym rzędzie ale również przemysłowe, ustalonego w pierwszych latach po wyzwoleniu, w sytuacji kraju jeszcze rolniczego, o niskiej technice i małej wydajności, w sytuacji więc charakteryzującej się słabą zdolnością nabywcą mas pracujących. Ten układ cen w nowych warunkach Węgier przemysłowych, kiedy siła nabywcza powszechnie już podrosła wysoko a „lepsze życie” parło do dalszego wzmagania popytu — stwarzała dla spekulacji okazję do wykupywania (taniach przecięt) towarów rolnych i przemysłowych, do ich przetrzymywania i manipulowania takiego, aby w „kółkach zapotrzebowania” wyściskać od konsumentów paskarskie ceny. Ten proces rozwijający się anachronizy, w której zabierał masom pracującym część towarów, a kiedy je wracał, brał z kolei haracz spekulacyjny i zubożając je i pomniejszając ich siłę nabywczą, potęgował akumulację kapitalistyczną przez okradanie akumulacji socjalistycznej. Uderzał w rezultacie podwójnie w wielką rekonstrukcję bazy przemysłowej, odciągając bowiem z dochodów ludzi pracy inwestycje na rozwój potęgi gospodarczej Węgier a „drożyzną” zniechęcał do wydajności pracy, skoro na nieustabilizowanym rynku cen traciły na wartości realne zarobki robotników. Normom akordów nie odpowiadający skaczące, rozwydrzone „normy” spekulacyjne.

Druga przyczyna. Rolnictwo na Węgrzech do roku 51 w ciągu kilku lat spotkało wiele klęsk klimatycznych. W 50 roku bardzo silnie obdłbi się susza na zbiorach pszy (wielki nieurodzaj buraka cukrowego), co spowodowało spadek trzody chlewnej o 1/3 bydła o 15—20 proc. Zły urodzaj zubożył doprowadził do wyrznięcia drobiu (który na Węgrzech stanowi nie małą pozycję w gospodarce chłopskiej). Wszystko to wywołało brak mięsa i tłuszczów, co z kolei zwiększyło zapotrzebowanie na chleb i cukier. A przy niskich cenach na chleb rozhułatały się spekulacje i przeróżne kombinacje, jak wykupywanie chleba z państwowych sklepów i spisanie go bydlęm lub spisanie własnego zboża, a do spożywania kupowane. Kulacy, którzy mają największą siłę pociągową (konie) i tradycje zarobkowania „woźniców” przy pomocy swych zaprzęgów obwołili się na sumę miliardów forintów na wielu nowych budowach, tucząc równocześnie konie bochenkami chleba.

W połowie 51 r. rząd ludowy wprowadził częściową reglamentację na artykuły żywnościowe, aby dobrać zabezpieczyć klasę robotniczą przed hydry spekulacji. Ale przez dwie ceny — bonową i rynkową, kiedy w zapleczu naciskał niedostatek mięsa i tłuszczu, „uczyskały nowe możliwości istnienia niedobitki klasy kapitalistycznej” — mówił Rakosi — które zresztą wykorzystywały te koniunktury... Ceny produktów na wolnym rynku, które wzrosły kilkakrotnie, niesłychanie zwiększyły dochody kulaków i bogatych chłopów, ponieważ mieli oni największe nadwyżki mięsa, drobiu, masła, jaj itd.

Rząd więc wystąpił z Uchwałą (2 grudnia 51 r.), której realizacja odbierała spekulantom i kulakom panowanie nad wolnym rynkiem. Regulacja cen (obliczona pod kątem wolnego rynku) przy wyrównaniu plac zapewniła robotnikom stabilizację cen na rynku i wzmocniła przez to bodźce do zwiększania wydajności pracy. Podniesienie cen na towary rolne, zniesienie reglamentacji i otwarcie wolnego rynku dla nadwyżek (poza skutkiem kontraktacji) uchroniło na wsi bodźce do podnoszenia produkcji rolnej.

Uchwała ta zadziała druzgocąco cios elementom kapitalistycznym na rynku. Odebrała bowiem korzyści paskarskie z gromadzenia zapasów i wykupywania dla spekulacji towarów z państwowych sklepów.

Uchwała ta przywróciła i ustaliła właściwą równowagę, właściwy stosunek wzajemny między zdolnością nabywcą ludności a istniejącym zapasem towarów.

Wprowadzenie Uchwały stało się możliwe dlatego, że po 1) jak to przedstawialiśmy wcześniej — rok 51, drugi rok Planu 5-letniego, wykazał w przemyśle i rolnictwie nowy poważny wzrost, a więc w sytuacji nowej, Węgry przemysłowo-rolnych. Ukazał zatem, że w ma-

TEOFIL KOWALCZYK

O zmorach pijących krew

MAŁEM może 9 lat, gdy zachorował wuj Stach. Narzekał na bóle w piersiach, pocili się w nocy i chudł z dnia na dzień. Pił śmietanę, tykał rosół z kur i nie pomagało. Wreszcie babka, poczciwa, ale ciemna kobieta powiedziała:

— Nic ze Stacha nie będzie. Zmora pije z niego krew. Rzeczywiście. Po roku wuj umarł, a ja wtedy uwierzyłem w zmyry, które piją ludzką krew. Wyobrażałem je sobie mętne jako ptaki latające nocą lub nietoperze. Pojęcie zmyry zacierało się z czasem, by wreszcie odżyło, ale w postaci...

Cztery lata później znalazłem się na wiecu robotniczym w Miechowie. Jakis mówca grzmiał, że właściciel młyna parowego gnębi robotników i pije z nich krew. Przeglądałem się tym robotnikom. Byli chudzi i blade jak wuj Stach. Właściciel młyn, którego pokazało mi na drugi dzień był dobrze odżywiony, pulchny jak paczek i różowy na twarzy. Pojęcie zmyry nabrało realnych kształtów. Przeszło być chimera, ptakiem nieokreślonego wyglądu i lotu. Stało się po prostu człowiekiem, który krzywdzi, wyzyskuje innych.

Znany jest wszystkim chłop Nankera we Wrocławiu. Tu chłop z okolicy zwołał we wtorek swoje produkty na targ, tu też snują się ludzie, których jedynym zajęciem jest spacer od wozu do wozu. Czasem są źle, czasem dobrze ubrani, ale to nie ma znaczenia. Pozory zewnętrzne często mylą. Panna Jaroszeńska Maria, w roku 1951 pracownik Hurtowni Ceramiki we Wrocławiu, założyła na placu Nankera własną firmę pod nazwą „Marysia”, bo nie „opłacało” jej się pracować w Hurtowni za 600 zł. Firma ta nie była przez żaden urząd koncesjonowana, ale ktoś przez organów M.O. zwraca na to uwagę. „Marysia” zajęła się handlem mięsem, słoniną, pończochami, ubiorem, towarami tekstylnymi, czym się „zresztą” dało. Obok niej zajęła stanowisko Karasiewicz Kazimiera, pod nazwą „Ślepa Kazia”, a nieco dalej od niej Jaskiewicz Danuta. Tej dano miano (w żargonie handlarzy) — „Cyganka”. W tym samym czasie, t.j. w roku 1952 w Legnicy „pracował” Nahujski Ludwik. Był to rutynowany handlarz. W 1950 roku pracował w P.D.T. jako kierownik stoiska z galanterią. Nigdy u niego nie dobrego nie można było kupić, bo wartościowy i pokupny towar zbywał na czarnym rynku. „Podpadł” dyrekcji P.D.T. w Legnicy i został zwolniony, lecz wcale się tym nie martwił. Poszedł do M.H.D. i został kierownikiem sklepu z galanterią skórzaną. Jako ekspedientka pracowała tam Bańkowska Jadwiga. Zapytanie, co miał wspólnego plac Nankera we Wrocławiu z Nahujskim? Oczywiście, miał. Jaroszeńska Maria czyła „Marysia” z placu Nankera znała Nr telefonu sklepowego Nahujskiego. Telefony w handlu grają ważną rolę, nie mniejszą od kolei. „Marysia” często rozmawiała telefonicznie z Legnicą. W wyniku takich rozmów Bańkowska Jadwiga wraz z żoną Nahujskiego wozili obuwie importowane z Czech i Węgier oraz inne wyroby skórzone — z magazynu sklepu M.H.D. w Legnicy do mieszkania „Marysi” we Wrocławiu. Tu następował dalszy obrót to-

sach pracujących miast i wsi wzmacniała się pełna poświęcenia i wytrwałości praca dla rozwoju potęgi gospodarczej kraju, dla rozwoju socjalizmu. Ze, zatem, usuwając źródło częściowego zahamowania produkcji, jakim był anachronizowany, spekulacyjny rynek, można liczyć na wzmocnienie sił wytwórczych i na tej drodze na sprawiedliwie podnoszenie dochodów i stopy życiowej mas pracujących.

Wprowadzenie Uchwały stało się możliwe dlatego, że po 2) i przemysł nagromadził już pewne rezerwy towarowe i rolnictwo osiągnęło w tym roku najwyższe zbiory a postawa obywatelska chłopów w skupie i w rozszerzeniu kontraktacji (walka podjęta o rozwój hodowli), o bok już powstała rezerwa pól rolnych gwarantowała tym większą wydajność przy korzyściach, płynących z Ustawy.

„Dzisiejsza nasza decyzja — mówił Rakosi 30 listopada 51 roku, przedstawiając projekt Uchwały — pod względem swego znaczenia jest kontynuacją tej drogi rozwojowej, która pozwoliła nam stworzyć mocną i stałą walutę, zracjonalizować przemysł, przystąpić do socjalistycznej przebudowy wsi i całego kraju”.

O doniosłości Reformy obrotu towarowego na Węgrzech może nam być powiedziane z perspektywy roku kilka wskaźników.

Oto — mimo suszy, która znów nawiedziła Węgry w 52 roku — obniżyły się znacznie ceny słoniny, mięsa, tłuszczów, drobiu, na rynku teraz już wolnym i jedynym.

W ciągu pierwszych 10 miesięcy 52 roku spożycie w miastach wzrosło na głowę:

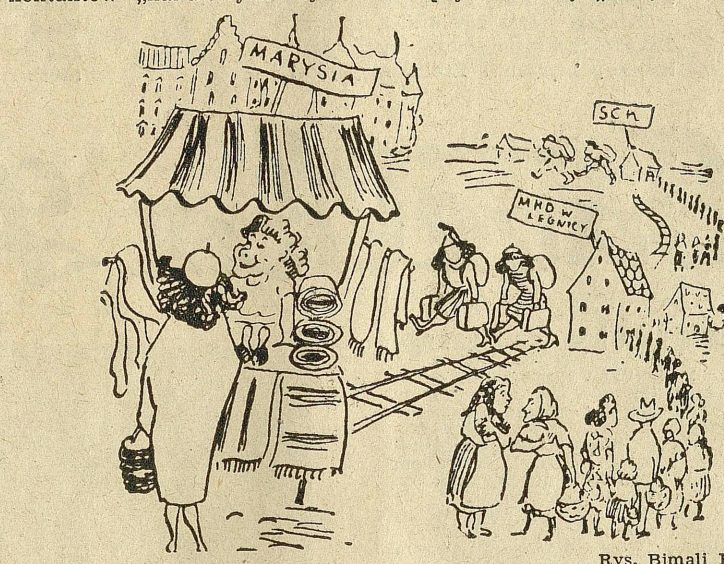
mięki — 31,8 proc., chleba — 7,9 proc., cukru — 24,5 proc., mięsa — 4,6 proc., tłuszczu — 46,3 proc., jaj — 21,6 proc., masła — 49,3 proc.

Wydajność pracy w przemyśle wzrosła ogólnie o 24 proc., w przemyśle ciężkim o 24,9 proc. w stosunku do roku 51.

Już w ciągu 10 pierwszych miesięcy przemysł dał gotowej produkcji o 25,2 proc. więcej, ciężki przemysł o 32,5 proc. więcej w stosunku do roku 51.

Jan Kosicki

warem. Część brała „Ślepa Kazia”, część „Cyganka” czyli Jaskiewicz Danuta. Podobne historie powtarzały się z pończochami. Obuwie, które w sklepie M.H.D. w Legnicy kosztowało 180 do 250 zł. — na placu Nankera miało już wartość 500 zł. ponieważ wchodził w nią „zarobek” i „Marysi” i „Ślepej Kazi” i „Cyganki” i Nahujskiego i Bańkowskiej. Pończochy jedwabne zamiast 18 zł. kosztowały 60 zł. Zarobki takie uzyskiwała ta zgrana paczka spekulantów z kieszeni chłopów, który przywoził na targ swoje produkty, a w zamian kupował towary przemysłowe — oraz z kieszeni wrocławskiego robotnika. Czy wychodziło to chłopu i robotnikowi na zdrowie? Na pewno nie. Chudli im kleszenie, a tym samym chudli i oni. Zmyry pily z nich krew. Nahujski nie ograniczał kontaktów „handlowych” tylko do



Rys. Bimali Horsa

znajomości z „Marysią” czy „Ślepą Kazią”. Jak zeznała w Wydziale Śledczym M.O. Jaroszeńska — handlował on i z innymi „firmami” i nie tylko z placu Nankera. Nic dziwnego, że możliwości nabywa towaru w sklepie państwowym w Legnicy były ograniczone. Nic dziwnego, że formowały się ogonki. Na placu Nankera ogonków nie było.

W gromadzie Mieświowej, pow. Jawor jest sklep Samopomocy Chłopskiej. Kierownikiem tego sklepu w 1951 roku była Cieszeńska Maria. Zarabiała 500 zł. i miała na utrzymaniu: dziecko, którego ojcem był Ryzner Wojciech; tenże po opuszczeniu w 1950 roku obozu pracy nigdzie nie pracował, mimo to Cieszeńskiej dobrze się powiodło. W październiku 1951 roku brała z Ryznerem ślub kościelny. Z tej okazji zakupiła meble za 3000 zł., zabiła 3 świnię i krowę, a siostrze Janinie dała 1900 zł. i szereg подарunków dla ojca w Zawierciu. Ryzner często wyjeżdżał do centralnej Polski z ciężko wyładowanymi walizkami. Pewnej nocy dokonano włamania do sklepu. Przedmiotem rabunku stały się towary, przede wszystkim skóra, wartości 35 000 zł. Cieszeńska zawiadomiła o włamaniu milicję, a równocześnie zleciła Ryznerowi rozsytać po schodach prowadzących na starych starty na proszek tytoń, „żeby pies milicyjny stracił węch”. Te naiwne wybiegi nie zdały się na nic. Przeprowadzona rewizja w Cieszeńskiej, u jej brata Stefana i u ojca w Zawierciu ujawniła jeszcze nie sprzedane 60 m. materiałów tekstylnych, 300 kg. cukru i 9 skór wypra-

GÓRNY STANISŁAW

O garncarzach z Pawłowa

W Prezydium Gminnej Rady Narodowej w Pawłowie można oglądać stare roczniki z XVIII i XIX wieku „Książ Rejestrów Życia i duplikatów”. Na półkach od starości kartach widnieją nazwiska byłych sławnych pawłowskich „mistrzów-garncarzy”, przadziadów trudniących się do chwili obecnej tym zawodem rodzin: Koszów, Ciechomskich, Kozłów, Zaworowskich i szeregu innych.

W 1937 r. w Pawłowie powstaje spółdzielnia garncarska, do której przystępuje 10 członków. Zaczęto nawet wznosić systemem gospodarczym wspólny warsztat pracy. Ale wybuch wojny w 1939 roku i walka z okupantem całkowicie zniszczyły rozpoczęte dzieło.

Dopiero ustrój Polski Ludowej położył kres nędznej vegetacji chałupników pawłowskich. W 1949 r. zorganizowano Spółdzielnię Wyrobów Ceramiki użytkowej i Galanterii, do której przystąpiło 17 chałupników. Ale mimo udzielonego przez Państwo pomodu statutowego kredytu na budowę wielkiej hali produkcyjnej, pozostała część chałupników ociagała się jeszcze z przystąpieniem do spółdzielni. Między innymi nawet produjący dziś i cieszący się poważaniem w spółdzielni, podestęży już wielkimi garncarz Michał Zolnierczyk uległ plotce Albina Gruntkowskiego, miejscowego handlarza z „...na wypalanie w piecu węglowym i z kominiarstwa szkoda nawet czasu. Każdy jeden garncarz powinien, a członkowie pójdą z torbami. Lepiej już trzymać się starej metody”.

Wbrew przewidywaniom spekulantów członkowie nie poszli „z torbami”, gdyż spółdzielnia uzyskiwała coraz lepsze wyniki i dawała coraz lepszy zarobek. W 1950 r. spółdzielnia skupiała już 80 członków, a w pierwszej połowie bieżącego roku liczba ta wzrosła do 97. Obecnie Spółdzielnia Przemysłu Ludowego i

wionych cieliących. W ten sposób Cieszeńska „zaprowadzała” na wsi artykuły przemysłowe. Oczywiście jest rzeczą, że zbrodnica parkie aresztowano. Teraz stało się jasne skąd Cieszeńska brała pieniądze. Zmyry zagrzeździły się więc i w Gminnej Spółdzielni Samopomocy Chłopskiej.

Na czym bazowali tacy spekulanci i krwio pijcy? Na różnicy cen towarów sprzedawanych przez Państwo a ich wartością rynkową. Cena pończoch jedwabnych pobierana przez placówkę handlu społecznego wynosiła 18 zł. Ich wartość spekulacyjno-obiegowa — 60 zł. Cena obuwia 180 — 250 zł. jego wartość czarnorynkowa 500 i więcej złotych. Spekulantowi Nahujskiemu opłacało się nabyć te towary nielegalnie w sklepie, a następnie sprzedać „Ślepej Kazi” czy „Marysi” powiedzmy

po 300 zł., a tym znowu kupić bo zysk był pewny. Te same motywy kierowały Cieszeńską i Ryznerem z tym, że Cieszeńska z okazji ślubu i wesela potrzebowała większej gotówki i dlatego sfingowała włamanie do sklepu, żeby „doskończyć” na jeszcze więcej. Żądza zysku i okoliczności dyktowały im metody nadużyć, ale baza na której żerowali była ta sama. Przechwytywali wartości, wyrażające się w różnicy cen, które Rząd Ludowy przeznaczał dla klasy robotniczej i chłopstwa pracującego w ich obronie. Tuczyl się ich krzywdą. Podobnie zresztą postępowali na rynku mięsa i tłuszczów. Dlatego gromem z jasnego nieba stała się Uchwała Rady Ministrów z dnia 3 stycznia. „Konieczną staje się w obecnych warunkach bardziej szeroka i wszechstronna reforma obrotu towarowego na podstawie nowego poziomu cen i nowego zmienionego stosunku między cenami towarów przemysłowych i rolnych”. „Koniecznym jest utracenie spekulantom i przekupniom możliwości żerowania na różnicach cen, na dwóch ich różnych poziomach — państwowym i wolnorynkowym”.

Zarobki i wartości, które przechwytywali w zbrodnię działalności Nahujski, Ryznerowie i „Ślepe Kazie” wpłynęły do kas państwowych i użyte zostaną na rozbudowę naszego przemysłu, na rozszerzenie świadczeń Państwa dla robotnika i chłopu pracującego.

...Przegrupowujemy swoje siły, aby w nowym szoku, skutecznie bić wroga klasowego, rozgromić spekulantów... — zmyry czelniekostatne.

Teofil Kowalczyk

GRZEGORZ TIMOFIEJEW

Kronika radziecka

CZASOPISMA LITERACKIE

STATNI (12) numer miesięcznika literackiego „Zwiedza” przynosi obszerną powieść Joanny Hausner pt. „Zobacz Moskwy!”. Jest to pamiętnikarska relacja z lat walki ludu francuskiego pod przewodnictwem KPF przeciwko hitlerowskiemu okupantom. Bronisław Keżun publikuje (w tymże numerze) cykl wierszy o budowie kanału Wołga — Don. W związku z XIX Zjazdem KPZR wypowiada się W. Sajajnow (literat), M. Kowalow (stanny konstruktor z Zakładów Metalurgicznych im. Stalina) oraz A. Bajkow (starszy majster fabryki im. Kirowa). Trójgłos pisarzy i robotników dokumentuje wielki entuzjazm, z jakim naród radziecki wypełnia wskazania Zjazdu. W. Sajajnow, pisząc o zadaniach, stojących przed pisarzami, stwierdza: „Referat tow. Malenkowa, wygłoszony na XIX Zjeździe ma ogromne znaczenie w walce w imię prawdy w sztuce, ze spłytem literaturze oraz wulgaryzacją”.

Grudniowy zeszyt miesięcznika literackiego „Oktabr” publikuje końcową część powieści A. Gonczarowa pt.: „Nasz korespondent”, o partii na tematyce wojennej i dwa opowiadania o walce kolchozników z wrogiem klasowym pt.: „Czeremcha” pióra A. Musatowa. W dziale krytyki godne uwagi jest studium J. Uchanowa, analizujące obraz klasy robotniczej w twórczości Gładowa.

Przeznaczoną na prozę część statniego numeru miesięcznika literackiego „Znamia” wypełnia w przeobrażającej mierze Irina Lwiczko „Powieść o wojennych latach”. W dziale poezji odnajdujemy cykl wierszy Włodzimierza Ługowskiego pt.: „Główny Turkmeński”. Mowa w nich o budowie nowego kanału na imponującej trasie 1100 kilometrów.

Wystąpienie Malenkowa w związku z sytuacją literatury radzieckiej wywołało żywe poruszenie wśród pisarzy. W miesięczniku „Znamia” w „Trybunie pisarza”

głos zabiera laureat nagrody Stalinskiej Stiepan Złobin, autor słynnej powieści historycznej „Stiepan Razin”. Złobin relacjonuje głębokie refleksje, jakie nasunęły mu słowa Malenkowa. Pisarz zamierzał opracować w formie beletrystycznej początki ruchu robotniczego Rosji w końcu ub. wieku, ale pod wpływem nauk XIX Zjazdu — zwrócił swoje zainteresowanie ku współczesności. „Nasza radziecka rzeczywistość — pisze S. Złobin — niesie ze sobą niespotykane, dawniej bogactwo zagadnień i palących problemów w zakresie osobistej, rodzinnej i społecznej moralności, w zakresie roli „prostych”, szeregowych ludzi w wielkich historycznych wydarzeniach...”. „Wszystko to dla nas, radzieckich pisarzy, nie jest nowym zagadnieniem, ale postawienie tego problemu w świetle historycznego rozwoju, w związku z nieprzerwanym przeobrażaniem się radzieckiego społeczeństwa stanowi właśnie nowość, którą musimy badać...”. „Dlatego właśnie poczułem nieprzepracowaną chęć pokazania w następnej powieści naszej dzisiejszej radzieckiej prawdy: przedstawienia, w miarę moich możliwości, jak w świadomości, socjalistycznej, twórczej pracy człowieka, uzbrojonego w znajomość praw społecznego rozwoju, przestaje być wiotkim niesionym przez potok historii, ale osiąga rolę budowniczego nowego społeczeństwa, inżyniera historii ludzkich losów”.

Zadania literatury radzieckiej w świetle XIX zjazdu omawia W. Iwanow w artykule pt.: „Wyżej podnieść ideowo - artystyczny poziom dzieł literatury radzieckiej”. „Radzieccy pisarze — przypomina Iwanow — nie mają i nie mogą mieć żadnych innych interesów jak tylko interesy narodu, interesy państwa”.

W ostatnim numerze miesięcznika literackiego „Nowy mir” zwraca uwagę nowy dramat Hikmeta pt. „Legenda o miłości” oraz obszerny dział krytyki.

NA TEMAT SZKOŁY

„TRYBUNA czytelnika” jednego z ostatnich numerów „Zwiedzy” publikuje garść listów nauczycielstwa radzieckiego na temat radzieckiej literatury, przedstawiającej życie szkoły i postacie pedagogów. Chodzi przede wszystkim o zbiór szkiców pt.: „Nauczyciel szkolny”, w którym wychowawcy zwierają się ze swoich przeżyć i dzielą się pedagogicznymi doświadczeniami oraz o pamiętnik nauczycielki wiejskiej N. Kozowej pt. „Pół wieku w szkole”. Czytelnicy, wychowawcy młodzieży na różnych terenach podkreślają jednogłośnie korzyść z lektury artystycznej, pomocnej w dziele wychowania. Doświadczenia pedagogiczne, podane w formie prozatorskiej opowiadania czy pamiętnika, pomagają wykładowcy w jego pracy.

Kierownik szkoły dla młodzieży robotniczej uważa, że największą zaletą wspomnianych książek jest umiejętność pokazania na czym polega powołanie i uzdolnienia prawdziwego pedagoga. Stanowi je indywidualne podejście do młodzieży; umiejętność, twórcze, elastyczne stosowanie środków wychowawczych; nie dopuszczanie do szablonu w sprawie tak nadzwyczaj subtelnej i odpowiedzialnej jak wychowanie”. Korespondent uważa, że w wieczorowej szkole wychowawca powinien szczególnie dobrze znać swoich uczniów, ich domową sytuację i warunki pracy, żeby umieć się znaleźć w trudnej sytuacji i przyjąć młodzieży z po-

trzebną radą. Inny nauczyciel z wiejskiej szkoły w liście pt. „Kolektyw pewnej klasy” stwierdza, że nieodowna podstawa życia każdej szkoły jest silny, żyty z sobą kolektyw. Co pomaga stworzyć kolektyw? Poszanowanie indywidualności każdego ucznia przy poważnym, nauczycielskim czynnościowym stosunku do jego charakteru.

Pamiętnik „Pół wieku w szkole” pióra N. Kozowej opowiada o ciężkiej pracy nauczycielki wiejskiej w latach carskiej reakcji i o radzieckiej szkole. Jest ciekawy, gdyż pozwala na konfrontację i wyciągnięcie wniosków. Pierwszy — to szacunek i miłość prostych ludzi do pracy nauczycielskiej. Drugi wniosek — dotyczy przydatności pracy poszczególnych społecznych nauczycielstwa dla zawodu pedagogicznego. Nauczycielstwo o takim powołaniu posiada szersze horyzonty umysłowe, bogatsze doświadczenia życiowe — i w rezultacie umie wyjść na spotkanie ludziom. Siła radzieckiego nauczycielstwa — pokazuje N. Kozowa — szczególnie młodego, przewaga tego typu wychowawców nad pedagogami, którzy przyszli do szkoły przed rewolucją, zasadza się na tym, że nowi ludzie od wczesnych lat posiadają szeroki krag zainteresowań społecznych i mają możliwość aktywnego uczestnictwa w życiu ołoczenia. Te cenne cechy pomagają im w pracy wychowawczej, umacniają żywą więź między szkołą a rodzinami, między szkołą, a miejscowymi i społecznymi organizacjami.

MANOWCE I LEKCJA WRZEŚNIA

(dokończenie ze str. 4)

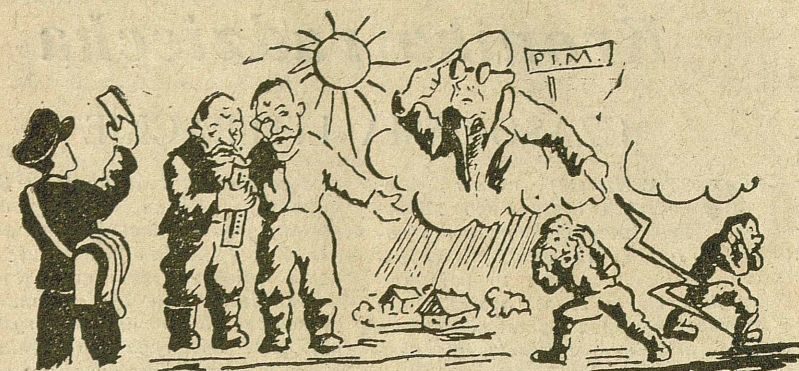
krowski wykorzystał epizody z powrotem. Dialogi Gembarszewskiego z komunistami, którzy uciekli z siedleckiego więzienia, rysują postacie komunistów schematycznie, sztywno i nieprawdziwie. Dobosz i Sznajder przebiegają się w żołnierskiej mundur, nie mają wątpliwości co do tego, że mimo rachunków krzywd winni podjąć natychmiast walkę z wrogiem, ale nie wystają ogólnie z klimatu powieści, z tej wiedzy o Polsce przedwójnej, która jest w „Dniach klęski” rozsypana we wspominkach. Są przyszytych wyrażymi niestety szwami jako jeszcze jeden epizod, jeden z wielu.

W „Dniach klęski” walczą bowiem Zukrowski-realistą z Zukrowskim-zwolnowionym naturą. Słak tej walki wiedzie poprzez „Córce” z zapasów wychodzi pisarz zwycięsko. Nie rezygnuje z obiektywnej, szerokiej wiedzy społecznej nawet wtedy, gdy zapamiętywa się w opisie wyizolowanych sytuacji. Daje to gwarancję prawidłowego

kierunku przemian. Rozwój ideologiczny pisarza, znany „Dniami klęski”, dokonuje się bez rezygnacji z najwastotniejszych cech wielkiego talentu pisarskiego, bez uproszczeń, których niebezpieczeństwo pojawiło się na chwilę w „Mądrych ziołach”. Zukrowski gra na uczuciach czytelnika jak na instrumencie, bierze go w niepodzielne władanie własnej wyobraźni, umiejętnie dozuje i stopniuje nastrojów na nieocenione, subtelne wyczuć taktu artystycznego, które rzadko zawodzi. Wtedy, kiedy zdobył się na patos i kiedy podcieniował go dawką humoru czy rubaszości, by nie wpaść w przesadę.

Mimo braku bohatera, w którego umyśle uświadamiałaby się wiedza, wynikająca z gromadzonego w „Dniach klęski” materiału, wyłania się z kart tej książki Wrzesień taki, jaki był dla szerokich mas narodu tragiczny. Ale jest ponad tym tragizm wiary w przyszłe zwycięstwo, zwycięstwo ostateczne.

Andrzej Lam



Rys. Bimali Horska

WOJCIECH DRYGAS

ZASIALI DESZCZ — ZEBRALI BURZĘ

Z inicjatywą podjęcia wielkiej operacji handlowej w nieznanej dotąd Kozłowie dziedzinie, wystąpił ojciec jego przyszłego zięcia Franciszek Judaszek. Plan opracowany przez Judaszka był fenomenalny i sprowadzał się do twierdzenia, że warunki atmosferyczne dobre czy złe, sprzyjające rolnikowi czy niesprzyjające, należą w obydwiu przypadkach do ludzi przedsiębiorczych. Do takich ludzi należeli niewątpliwie Kozioł i Judaszek, których sąsiadujące ze sobą grunta obejmowały pół ćwierci wsi. Jak dowodzi historia społeczeństwa, właśnie tego rodzaju kategoria przedsiębiorców wiejskich żywi stałość do poglądów na świat, iż silny triumfuje nad słabszym. Oba więc sąsiadzi postanowili zatrudnić nad całą okolicą Szpakowic, uściśniętych w niewielką nieckę pośrodku spalskich lasów.

Zanim jednak doszło między nimi do decydującej rozmowy i w móżgu Judaszki zrodziła się kapitalna koncepcja wykorzystania siły przyrody dla celów spekulacyjnych, trzeba było pewnego pisma zadresowanego do miejscowej GRN, w którym Państwowy Instytut Hydro-Meteorologiczny zapytywał uprzejmie, czy na terenie Szpakowic, położonych w dogodnym miejscu, istnieje możliwość założenia stałego punktu obserwacyjnego, chodząco po prostu o wyszukanie chętnego rolnika, czytelnego trochę w książkach, któremu można by powierzyć deszczomierz, termometr, wiatraczek z różą wiatrów oraz bloczek meldunkowy do notowania codziennych zjawisk atmosferycznych.

Rzecz oczywista, gmina nie przywiązywała większego znaczenia do meteorologii, toteż dopiero czwarte z kolei ponaglenie wyrwało miejscowe organa z niejakoś snu. Wówczas pojawił się Kozioł z instrukcją — Judaszka. Gmina pokłoniła głową, pomedytowała, zrobiła pewne zastrzeżenia odnośnie kulturalnego pochodzenia kandydata, lecz nie znajdując na oczekiwania chętniejszego, zgodziła się na wybór, wychodząc z założenia, że w meteorologii klasowe oblicze Kozioła nie będzie miało żadnego wpływu na pogodę.

W ten oto sposób Kozioł stał się użytkownikiem deszczomierza, termometru, wiatraczka z różą wiatrów, oraz bloczka meldunkowego do notowania wszelkich zjawisk atmosferycznych. Nie posiadał on ani jednej spośród właściwości rasowego meteorologa, ale — co nie każdy w Szpakowicach mógł sobie pozwolić — posiadał zadziwiającą chęć służenia społeczności własnej w tej dziedzinie, a to wystarczało, aby gmina mogła odechnąć z ulgą i zapomnieć wkrótce o całej sprawie.

Przez z górą pół roku stacja PIHM-u obserwowała z lakonicznych — zdawałoby się komuś — meldunków Kozioła, nienotowane dotąd w Polsce zjawisko atmosferyczne. Lasy spalskie w rejonie Szpakowic dzień w dzień zalewały strugi deszczu, zachłystywały się ni stąd ni zowąd dokończonymi mżawkami i nawiedzane były periodycznie przez gęstą jak watolina mgłę. Podczas gdy w całym kraju ludzie pracy cieszyli się najpóźniejszą pod słońcem pogodą — Kozioł uwarpił meldować.

„Szpakowice znajdują się pod wpływem słabego układu niskiego ciśnienia. Zachmurzenie duże i gwałtowne opady. W godzinach popołudniowych lokalne mgły. Od południa i południowego zachodu silniejsze wiatry z kierunków zmierzających przeważnie wschodnich, skracających na północ. Nocą temperatura ttd., ttd.”.

Były szczęśliwe dni, kiedy Kozioł zalewała fala ciepłego optymizmu i wtedy pocieszał on profesorów z PIHM-u możliwościami przejaśnień, zwłaszcza z KIERUNKÓW ZACHODNICH. Lecz już w dniu następnym zapominał o danym przyrzeczeniu, przerzucając znowu Atlantyk do Szpakowic brudzą gwałtowność nizu, który czynił lokalne spustoszenia na miarę jakiegoś potopu.

Jeszcze kilka takich komunikatów — zacierał ręce Judaszek — a zaczęną pisać o nas w gazecie. A jak zaczęną pisać, że nas woda zalewa, to pójdziemy z tą gazetą do GRN i powiemy: tu piszą w gazecie, żebyście nas ratowali. Ratujcie nas ludzie! Oni, jak to oni, pokorzą nasami: przecież żadna woda was nie zalewa? Co wy od nas chęta? Chcemy zwolnienia od obowiązkowych dostaw — zawołamy. — Chcemy zwolnienia od świadczeń i po-

datków. Jak gazety piszą o nas, że toniemy, to znaczy, że tak musi być, bo gazety wszystko wiedzą. A co powiedzą te gazety jak nas nie zatoną? One powiedzą: GRN jest szkodnikiem, bo siedzi na tym ichnim wyżym barometrycznym i nie chce widzieć białków, co po kolanach stoją w nizu. I zaraz napiszą długie artykuły. Wtedy poczujemy współczucie dla rozbitek z ginącego pod wodą świata. Pomyslicie więc: czy nie lepiej zwolnić nas ze wszystkich po dobroci?

W oczekiwaniu na artykuł o potopie w Szpakowicach, obaj kulacy rozpoczęli wstępne układy ze spekulantami w Rawie Mazowieckiej. Na podstawie łączących ich z nimi stosunków rodzinnych mieli prawo przypuszczać, że zamierzony interes prosperować będzie znakomicie. Miego przeznaczali dla Warszawy, wszelkie kasze perłowe miały płynąć do Łodzi. Warszawskie i łódzkie handlarzy otrzymały zawczasu szczegółowe wskazówki, w jakich gatunkach tkanin i obuwiu i w jakich ilościach wlaści i różnego rodzaju artykułów żelaznych mają lokować zyski obu przedsiębiorców. Co prawda do zmontowania interesu o tak olbrzymim rozgałęzieniu potrzeba było trochę kapitału. Kapitał miała zrobić tragiczna notatka prasowa o potopie. W tej nadziei kulacy rzucili na szalę szczęścia całą posiadaną przez siebie gotówkę (w tym odłożone pieniądze na spłacenie należności podatkowych). Gra była rozpoczęta!

W tym samym czasie profesorowie PIHM-u łamali sobie głowy nad zgłębieniem zagadki „niecki albo piekietka szpakowickiego”, jak popularnie nazywali rejon lasów spalskich nawiedzanych przez rozpadające się żywoty. Wszelkie domysły, poparte żmudnymi obliczeniami, prowadziły do hipotetycznego twierdzenia, że nad „niecką” wytworzył się słup powietrza pochodzenia cyklonicznego, który ze względu naukowych należało obserwować z bliska. Przygotowano wyprawę naukową, i posłano Kozłowi depesze:

„Trzymajcie się stop, my tam zaraz będziemy stop, wszystko wam wyjaśnimy stop”.

Na Kozioła padł błąd strach. Próbował rozmawiać z Judaszkiem. Ale powiedział krótko, że jeśli meteorologia zawiodła na całej linii, to on, bynajmniej nie rezygnując ze swych pieniędzy, zrezygnuje z czarnego rynku i będzie czynił wszystko, aby je w ten czy inny sposób pomnożyć. Oświadczył wreszcie, że dla niego człowiek, który nie ma szczęścia, przestaje istnieć tak samo, jak człowiek, który NIE MA ROZUMU. Kozioł uchwycił się tej sentencji jak tonący brzytwy i był za to Judaszki nawet wdzięczny. Postanowił NIE MIEĆ ROZUMU.

Dobra rodzina, chcąc go jakoś ratować, poradziła mu lekarza chorób nerwowych, wychodząc z założenia, że osobnik legitymujący się „wariackimi papierami” nie będzie odpowiadał przed prokuratorem. Pojechał przeto Kozioł w asyście dwóch braci do zakładu umysłowego chorujących. Lekarzem badającym był połączający medyk, który zrobił dyplom. Kiedy się dowiedział o idei kulaka — meteorologa, zorientował się odrazu.

— W lewym kolanie reumatyzm — wołał już od proga — powikłań mózgowych nie stwierdzono...

Jak na ironię pielęgniarzka pokazała mu pogryzioną dłoń.

— I antioła zobaczył na kaloryferze — krztusiła się tżami.

— Antioła? — medyk opadł bezsilnie na fotel, który jeszcze przed chwilą zajmował pacjent.

W jakiś czas później przyprowadzono mu nowego pacjenta. Z karty chorobowej wynikało, że jest to niejakiś Franciszek Judaszek ze Szpakowic. Nic nie mówił — feno płakał. Rodzina nie umiała określić przyczyn jego depresji. Po prostu krótkoś dnia wziął do ręki gazetę i naraz jakby grom z jasnego nieba: zakrztusił się, złapał za głowę i odleciał myślami hen, w te zaświaty niebieskie.

— A jaka to była ta gazeta? — badał medyk.

— Niby owa...

Medyk rozłożył dziennik, na pierwszej kolumnie tuste ciotki głośko wylały nowinę: „DOTKLIWY CIOS SPEKULANTOM I KOMBINATOROM WYMIERZYŁA UCHWAŁA RADY MINISTRÓW W SPRAWIE ZNISZENIA BONO-WEGO ZAOPATRZENIA, REGULACJI CEN, OGÓLNEJ PODWYŻKI PŁAC I ZNISZENIA OGRANICZEN W HANDLU NADWYŻKAMI PRODUKTÓW ROLNICZYCH”.

Wojciech Drygas

HORACY SAFRIN

SKARGI PANI PYTLASINSKIEJ

Wczoraj powiedział spiker BIBISI: coś niedobrego w powietrzu wisi. I proszę — odgadł. To ci porządk! Rząd zlikwidował po sklepach rządki. Z dnia na dzień taka poważna zmiana! Rzec podjeżdżana! Rzec podjeżdżana!

Dzisiaj rano idę z dzbankiem po mleko. Staję jak wryta, mrugam powieki. O gwałtu, rety! Co się tu dzieje? Przed mleczarniami nie ma kolejek. Nie ma kolejek z samego rana! Rzec podjeżdżana! Rzec podjeżdżana!

A w sklepie mięsnym — to już niesposób! — czeka zaledwie cztery-pleć osób. Sam pan kierownik z słodzikiem miną odważa jedną rąbanek z szynką. Tyle mięsniwa, aż bola oczy: schab, bruchowina, baleron, boczek!

W spółdzielniach jakaś siła nieczysta! Świeże maselko spogląda z wystaw, a nawet w jednej z pobliskich witryn widziałem stertę żółciutkich cytryn. Taka obfitość po samych świętach! Rzec podjeżdżana! Rzec niepojęta!

Gazetka gminna

Z pamiętnika byłego kinowego

...XI.51. Działaj wybrałem się do nastroju kina. Co to będzie za przyjemny wieczór! Cieszę się z góry na zobaczenie filmu radzieckiego „Kraźownik Warg”. To podobno o wojnie japońsko-radzieckiej z 1905 r. Kiedy przyszedłem pod lokal kina, było już sporo osób. Każdy, kto chciał film zobaczyć, już czekał, ale kina nie otwierali. Podobno kierownik jeszcze nie przyszedł. ...XI.52. Byłem dzisiaj w naszym kinie nr 79 w Płoniawach (pow. Maków Mazowiecki). Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że w czasie trwania filmu weszli na salę kierownik niejaki Welskop Jan i wszczął awanturę z jednym z widzów o jakąś dziewczynę. Kierownik był pijany. ...XI.53. Byłem dzisiaj w naszym kinie. Wszyscy go nam zadróżczył i z okolicznych wsi przyjeżdżają, aby móc zobaczyć filmy. Czekaliśmy na kierownika przeszło pół godziny na dworze, bo kino zamknięte. Namierzaliśmy się, co niemiara. Poszedł jeden z nas, żeby dowiedzieć się, co jest, wraca i mówi, że benzyny nie ma to i filmu nie będzie.

...XI.52. Byłem dzisiaj w naszym kinie. Ale seans nie odbył się. Kierownik powiedział, że motor się przeziębiał. I potem pojechał szybko do sąsiedniej wsi na trzynięt przyjechała. ...XI.52. Byłem dzisiaj w naszym kinie. Już mi się tam nudziło chodzić, bo to kino ze swolnymi niespodziankami. Raz motor nawalał, to znowu kierownik bzuchoł, bo się przezięb. Zebych choć czasem taka niespodzianka była radośna, a to przeważnie nagrywanie się z widzów. Co nas dżis czekał, pytał jeden drugiego oczekując na wypuszczenie do sali. Zimno jak nie wiem co, przypytaliśmy, a tu kierownik wyziął i oświadczył, że on „takie” bandzie wyświadczył nie będzie. Jak mu powieścił, że to jego prawo, zaśmiał się i powiedział, że ma nas gdzieś. Po drugiej kłótni puścił film polskiej produkcji „Premiera warszawska”. W końcu nie dowiedzieliśmy się, kto ostatecznie zwyciężył, bo wypadło u nas, że pan habria. A to dlatego, że kierownik przerwał wyświetlanie i powiedział, żeby iść do domu, bo on czasu nie ma.

...XI.52. Studiowałem dzisiaj projekt naszej Konstytucji. Podobał mi się szczególnie art. 76 mówiący o konstytucyjnym wypełnianiu obowiązków wobec Państwa i szanowaniu zasad współżycia społecznego. Wyłączałem z gazety ten wynek i zaniostem kierownikowi kina. ...XI.52. Zebrało się u mnie trzech chłopaków i napisaliśmy list do Warszawy, opisując zachowanie się kierownika naszego kina. Dość niespodzianki! Zobaczyliśmy też list poskutkuje. Wprawdzie nie wierzymy, żeby coś pomogło, ale zawsze użyjmy naszemu sercu takie postawienie sprawy. ...XI.52. Odpowiedź nie ma! ...XI.52. Byłem dzisiaj w kinie. Seans rozpoczął się z 50 minutowym opóźnieniem. ...XI.52. Od dzisiejszego kierownik dostał zwolnienie, już nie pracuje. Wierzę, że nasz list skutecznie pomógł. Teraz będziemy mieli ładne kino wilejskie. Już się w niedzielę na kinie w Płoniawach, idziemy cała gromada na film! Stanisław Makuch

Romansowy sołtys

Chcieliśmy się pochwalić naszym sołtysiem. Konstantym Frołkowskim, bo człowiek towarzyski i od kieliszka nie stronił. Chcieliśmy się nim pochwalić, ale nie wiemy, czy to wypada, choć sołtys rozszalał na całą okolicę naszą wieś Straszew. Jego sława wyszła już dawno poza granice naszej gminy. Ziemie dotarła nawet do dworów bywalskiej w mieście powiatowym Mławie, oddalonym od nas o 35 km. Mimo to jednak władze nie zareagowały, jak spodziewaliśmy się. Wciąż nie wiemy, czy to wypada, choć sołtys rozszalał na całą okolicę naszą wieś Straszew. Jego sława wyszła już dawno poza granice naszej gminy. Ziemie dotarła nawet do dworów bywalskiej w mieście powiatowym Mławie, oddalonym od nas o 35 km. Mimo to jednak władze nie zareagowały, jak spodziewaliśmy się. Wciąż nie wiemy, czy to wypada, choć sołtys rozszalał na całą okolicę naszą wieś Straszew. Jego sława wyszła już dawno poza granice naszej gminy. Ziemie dotarła nawet do dworów bywalskiej w mieście powiatowym Mławie, oddalonym od nas o 35 km. Mimo to jednak władze nie zareagowały, jak spodziewaliśmy się. Wciąż nie wiemy, czy to wypada, choć sołtys rozszalał na całą okolicę naszą wieś Straszew. Jego sława wyszła już dawno poza granice naszej gminy. Ziemie dotarła nawet do dworów bywalskiej w mieście powiatowym Mławie, oddalonym od nas o 35 km. Mimo to jednak władze nie zareagowały, jak spodziewaliśmy się. Wciąż nie wiemy, czy to wypada, choć sołtys rozszalał na całą okolicę naszą wieś Straszew. Jego sława wyszła już dawno poza granice naszej gminy. Ziemie dotarła nawet do dworów bywalskiej w mieście powiatowym Mławie, oddalonym od nas o 35 km. Mimo to jednak władze nie zareagowały, jak spodziewaliśmy się. Wciąż nie wiemy, czy to wypada, choć sołtys rozszalał na całą okolicę naszą wieś Straszew. Jego sława wyszła już dawno poza granice naszej gminy. Ziemie dotarła nawet do dworów bywalskiej w mieście powiatowym Mławie, oddalonym od nas o 35 km. Mimo to jednak władze nie zareagowały, jak spodziewaliśmy się. Wciąż nie wiemy, czy to wypada, choć sołtys rozszalał na całą okolicę naszą wieś Straszew. Jego sława wyszła już dawno poza granice naszej gminy. Ziemie dotarła nawet do dworów bywalskiej w mieście powiatowym Mławie, oddalonym od nas o 35 km. Mimo to jednak władze nie zareagowały, jak spodziewaliśmy się. Wciąż nie wiemy, czy to wypada, choć sołtys rozszalał na całą okolicę naszą wieś Straszew. Jego sława wyszła już dawno poza granice naszej gminy. Ziemie dotarła nawet do dworów bywalskiej w mieście powiatowym Mławie, oddalonym od nas o 35 km. Mimo to jednak władze nie zareagowały, jak spodziewaliśmy się. Wciąż nie wiemy, czy to wypada, choć sołtys rozszalał na całą okolicę naszą wieś Straszew. Jego sława wyszła już dawno poza granice naszej gminy. Ziemie dotarła nawet do dworów bywalskiej w mieście powiatowym Mławie, oddalonym od nas o 35 km. Mimo to jednak władze nie zareagowały, jak spodziewaliśmy się. Wciąż nie wiemy, czy to wypada, choć sołtys rozszalał na całą okolicę naszą wieś Straszew. Jego sława wyszła już dawno poza granice naszej gminy. Ziemie dotarła nawet do dworów bywalskiej w mieście powiatowym Mławie, oddalonym od nas o 35 km. Mimo to jednak władze nie zareagowały, jak spodziewaliśmy się. Wciąż nie wiemy, czy to wypada, choć sołtys rozszalał na całą okolicę naszą wieś Straszew. Jego sława wyszła już dawno poza granice naszej gminy. Ziemie dotarła nawet do dworów bywalskiej w mieście powiatowym Mławie, oddalonym od nas o 35 km. Mimo to jednak władze nie zareagowały, jak spodziewaliśmy się. Wciąż nie wiemy, czy to wypada, choć sołtys rozszalał na całą okolicę naszą wieś Straszew. Jego sława wyszła już dawno poza granice naszej gminy. Ziemie dotarła nawet do dworów bywalskiej w mieście powiatowym Mławie, oddalonym od nas o 35 km. Mimo to jednak władze nie zareagowały, jak spodziewaliśmy się. Wciąż nie wiemy, czy to wypada, choć sołtys rozszalał na całą okolicę naszą wieś Straszew. Jego sława wyszła już dawno poza granice naszej gminy. Ziemie dotarła nawet do dworów bywalskiej w mieście powiatowym Mławie, oddalonym od nas o 35 km. Mimo to jednak władze nie zareagowały, jak spodziewaliśmy się. Wciąż nie wiemy, czy to wypada, choć sołtys rozszalał na całą okolicę naszą wieś Straszew. Jego sława wyszła już dawno poza granice naszej gminy. Ziemie dotarła nawet do dworów bywalskiej w mieście powiatowym Mławie, oddalonym od nas o 35 km. Mimo to jednak władze nie zareagowały, jak spodziewaliśmy się. Wciąż nie wiemy, czy to wypada, choć sołtys rozszalał na całą okolicę naszą wieś Straszew. Jego sława wyszła już dawno poza granice naszej gminy. Ziemie dotarła nawet do dworów bywalskiej w mieście powiatowym Mławie, oddalonym od nas o 35 km. Mimo to jednak władze nie zareagowały, jak spodziewaliśmy się. Wciąż nie wiemy, czy to wypada, choć sołtys rozszalał na całą okolicę naszą wieś Straszew. Jego sława wyszła już dawno poza granice naszej gminy. Ziemie dotarła nawet do dworów bywalskiej w mieście powiatowym Mławie, oddalonym od nas o 35 km. Mimo to jednak władze nie zareagowały, jak spodziewaliśmy się. Wciąż nie wiemy, czy to wypada, choć sołtys rozszalał na całą okolicę naszą wieś Straszew. Jego sława wyszła już dawno poza granice naszej gminy. Ziemie dotarła nawet do dworów bywalskiej w mieście powiatowym Mławie, oddalonym od nas o 35 km. Mimo to jednak władze nie zareagowały, jak spodziewaliśmy się. Wciąż nie wiemy, czy to wypada, choć sołtys rozszalał na całą okolicę naszą wieś Straszew. Jego sława wyszła już dawno poza granice naszej gminy. Ziemie dotarła nawet do dworów bywalskiej w mieście powiatowym Mławie, oddalonym od nas o 35 km. Mimo to jednak władze nie zareagowały, jak spodziewaliśmy się. Wciąż nie wiemy, czy to wypada, choć sołtys rozszalał na całą okolicę naszą wieś Straszew. Jego sława wyszła już dawno poza granice naszej gminy. Ziemie dotarła nawet do dworów bywalskiej w mieście powiatowym Mławie, oddalonym od nas o 35 km. Mimo to jednak władze nie zareagowały, jak spodziewaliśmy się. Wciąż nie wiemy, czy to wypada, choć sołtys rozszalał na całą okolicę naszą wieś Straszew. Jego sława wyszła już dawno poza granice naszej gminy. Ziemie dotarła nawet do dworów bywalskiej w mieście powiatowym Mławie, oddalonym od nas o 35 km. Mimo to jednak władze nie zareagowały, jak spodziewaliśmy się. Wciąż nie wiemy, czy to wypada, choć sołtys rozszalał na całą okolicę naszą wieś Straszew. Jego sława wyszła już dawno poza granice naszej gminy. Ziemie dotarła nawet do dworów bywalskiej w mieście powiatowym Mławie, oddalonym od nas o 35 km. Mimo to jednak władze nie zareagowały, jak spodziewaliśmy się. Wciąż nie wiemy, czy to wypada, choć sołtys rozszalał na całą okolicę naszą wieś Straszew. Jego sława wyszła już dawno poza granice naszej gminy. Ziemie dotarła nawet do dworów bywalskiej w mieście powiatowym Mławie, oddalonym od nas o 35 km. Mimo to jednak władze nie zareagowały, jak spodziewaliśmy się. Wciąż nie wiemy, czy to wypada, choć sołtys rozszalał na całą okolicę naszą wieś Straszew. Jego sława wyszła już dawno poza granice naszej gminy. Ziemie dotarła nawet do dworów bywalskiej w mieście powiatowym Mławie, oddalonym od nas o 35 km. Mimo to jednak władze nie zareagowały, jak spodziewaliśmy się. Wciąż nie wiemy, czy to wypada, choć sołtys rozszalał na całą okolicę naszą wieś Straszew. Jego sława wyszła już dawno poza granice naszej gminy. Ziemie dotarła nawet do dworów bywalskiej w mieście powiatowym Mławie, oddalonym od nas o 35 km. Mimo to jednak władze nie zareagowały, jak spodziewaliśmy się. Wciąż nie wiemy, czy to wypada, choć sołtys rozszalał na całą okolicę naszą wieś Straszew. Jego sława wyszła już dawno poza granice naszej gminy. Ziemie dotarła nawet do dworów bywalskiej w mieście powiatowym Mławie, oddalonym od nas o 35 km. Mimo to jednak władze nie zareagowały, jak spodziewaliśmy się. Wciąż nie wiemy, czy to wypada, choć sołtys rozszalał na całą okolicę naszą wieś Straszew. Jego sława wyszła już dawno poza granice naszej gminy. Ziemie dotarła nawet do dworów bywalskiej w mieście powiatowym Mławie, oddalonym od nas o 35 km. Mimo to jednak władze nie zareagowały, jak spodziewaliśmy się. Wciąż nie wiemy, czy to wypada, choć sołtys rozszalał na całą okolicę naszą wieś Straszew. Jego sława wyszła już dawno poza granice naszej gminy. Ziemie dotarła nawet do dworów bywalskiej w mieście powiatowym Mławie, oddalonym od nas o 35 km. Mimo to jednak władze nie zareagowały, jak spodziewaliśmy się. Wciąż nie wiemy, czy to wypada, choć sołtys rozszalał na całą okolicę naszą wieś Straszew. Jego sława wyszła już dawno poza granice naszej gminy. Ziemie dotarła nawet do dworów bywalskiej w mieście powiatowym Mławie, oddalonym od nas o 35 km. Mimo to jednak władze nie zareagowały, jak spodziewaliśmy się. Wciąż nie wiemy, czy to wypada, choć sołtys rozszalał na całą okolicę naszą wieś Straszew. Jego sława wyszła już dawno poza granice naszej gminy. Ziemie dotarła nawet do dworów bywalskiej w mieście powiatowym Mławie, oddalonym od nas o 35 km. Mimo to jednak władze nie zareagowały, jak spodziewaliśmy się. Wciąż nie wiemy, czy to wypada, choć sołtys rozszalał na całą okolicę naszą wieś Straszew. Jego sława wyszła już dawno poza granice naszej gminy. Ziemie dotarła nawet do dworów bywalskiej w mieście powiatowym Mławie, oddalonym od nas o 35 km. Mimo to jednak władze nie zareagowały, jak spodziewaliśmy się. Wciąż nie wiemy, czy to wypada, choć sołtys rozszalał na całą okolicę naszą wieś Straszew. Jego sława wyszła już dawno poza granice naszej gminy. Ziemie dotarła nawet do dworów bywalskiej w mieście powiatowym Mławie, oddalonym od nas o 35 km. Mimo to jednak władze nie zareagowały, jak spodziewaliśmy się. Wciąż nie wiemy, czy to wypada, choć sołtys rozszalał na całą okolicę naszą wieś Straszew. Jego sława wyszła już dawno poza granice naszej gminy. Ziemie dotarła nawet do dworów bywalskiej w mieście powiatowym Mławie, oddalonym od nas o 35 km. Mimo to jednak władze nie zareagowały, jak spodziewaliśmy się. Wciąż nie wiemy, czy to wypada, choć sołtys rozszalał na całą okolicę naszą wieś Straszew. Jego sława wyszła już dawno poza granice naszej gminy. Ziemie dotarła nawet do dworów bywalskiej w mieście powiatowym Mławie, oddalonym od nas o 35 km. Mimo to jednak władze nie zareagowały, jak spodziewaliśmy się. Wciąż nie wiemy, czy to wypada, choć sołtys rozszalał na całą okolicę naszą wieś Straszew. Jego sława wyszła już dawno poza granice naszej gminy. Ziemie dotarła nawet do dworów bywalskiej w mieście powiatowym Mławie, oddalonym od nas o 35 km. Mimo to jednak władze nie zareagowały, jak spodziewaliśmy się. Wciąż nie wiemy, czy to wypada, choć sołtys rozszalał na całą okolicę naszą wieś Straszew. Jego sława wyszła już dawno poza granice naszej gminy. Ziemie dotarła nawet do dworów bywalskiej w mieście powiatowym Mławie, oddalonym od nas o 35 km. Mimo to jednak władze nie zareagowały, jak spodziewaliśmy się. Wciąż nie wiemy, czy to wypada, choć sołtys rozszalał na całą okolicę naszą wieś Straszew. Jego sława wyszła już dawno poza granice naszej gminy. Ziemie dotarła nawet do dworów bywalskiej w mieście powiatowym Mławie, oddalonym od nas o 35 km. Mimo to jednak władze nie zareagowały, jak spodziewaliśmy się. Wciąż nie wiemy, czy to wypada, choć sołtys rozszalał na całą okolicę naszą wieś Straszew. Jego sława wyszła już dawno poza granice naszej gminy. Ziemie dotarła nawet do dworów bywalskiej w mieście powiatowym Mławie, oddalonym od nas o 35 km. Mimo to jednak władze nie zareagowały, jak spodziewaliśmy się. Wciąż nie wiemy, czy to wypada, choć sołtys rozszalał na całą okolicę naszą wieś Straszew. Jego sława wyszła już dawno poza granice naszej gminy. Ziemie dotarła nawet do dworów bywalskiej w mieście powiatowym Mławie, oddalonym od nas o 35 km. Mimo to jednak władze nie zareagowały, jak spodziewaliśmy się. Wciąż nie wiemy, czy to wypada, choć sołtys rozszalał na całą okolicę naszą wieś Straszew. Jego sława wyszła już dawno poza granice naszej gminy. Ziemie dotarła nawet do dworów bywalskiej w mieście powiatowym Mławie, oddalonym od nas o 35 km. Mimo to jednak władze nie zareagowały, jak spodziewaliśmy się. Wciąż nie wiemy, czy to wypada, choć sołtys rozszalał na całą okolicę naszą wieś Straszew. Jego sława wyszła już dawno poza granice naszej gminy. Ziemie dotarła nawet do dworów bywalskiej w mieście powiatowym Mławie, oddalonym od nas o 35 km. Mimo to jednak władze nie zareagowały, jak spodziewaliśmy się. Wciąż nie wiemy, czy to wypada, choć sołtys rozszalał na całą okolicę naszą wieś Straszew. Jego sława wyszła już dawno poza granice naszej gminy. Ziemie dotarła nawet do dworów bywalskiej w mieście powiatowym Mławie, oddalonym od nas o 35 km. Mimo to jednak władze nie zareagowały, jak spodziewaliśmy się. Wciąż nie wiemy, czy to wypada, choć sołtys rozszalał na całą okolicę naszą wieś Straszew. Jego sława wyszła już dawno poza granice naszej gminy. Ziemie dotarła nawet do dworów bywalskiej w mieście powiatowym Mławie, oddalonym od nas o 35 km. Mimo to jednak władze nie zareagowały, jak spodziewaliśmy się. Wciąż nie wiemy, czy to wypada, choć sołtys rozszalał na całą okolicę naszą wieś Straszew. Jego sława wyszła już dawno poza granice naszej gminy. Ziemie dotarła nawet do dworów bywalskiej w mieście powiatowym Mławie, oddalonym od nas o 35 km. Mimo to jednak władze nie zareagowały, jak spodziewaliśmy się. Wciąż nie wiemy, czy to wypada, choć sołtys rozszalał na całą okolicę naszą wieś Straszew. Jego sława wyszła już dawno poza granice naszej gminy. Ziemie dotarła nawet do dworów bywalskiej w mieście powiatowym Mławie, oddalonym od nas o 35 km. Mimo to jednak władze nie zareagowały, jak spodziewaliśmy się. Wciąż nie wiemy, czy to wypada, choć sołtys rozszalał na całą okolicę naszą wieś Straszew. Jego sława wyszła już dawno poza granice naszej gminy. Ziemie dotarła nawet do dworów bywalskiej w mieście powiatowym Mławie, oddalonym od nas o 35 km. Mimo to jednak władze nie zareagowały, jak spodziewaliśmy się. Wciąż nie wiemy, czy to wypada, choć sołtys rozszalał na całą okolicę naszą wieś Straszew. Jego sława wyszła już dawno poza granice naszej gminy. Ziemie dotarła nawet do dworów bywalskiej w mieście powiatowym Mławie, oddalonym od nas o 35 km. Mimo to jednak władze nie zareagowały, jak spodziewaliśmy się. Wciąż nie wiemy, czy to wypada, choć sołtys rozszalał na całą okolicę naszą wieś Straszew. Jego sława wyszła już dawno poza granice naszej gminy. Ziemie dotarła nawet do dworów bywalskiej w mieście powiatowym Mławie, oddalonym od nas o 35 km. Mimo to jednak władze nie zareagowały, jak spodziewaliśmy się. Wciąż nie wiemy, czy to wypada, choć sołtys rozszalał na całą okolicę naszą wieś Straszew. Jego sława wyszła już dawno poza granice naszej gminy. Ziemie dotarła nawet do dworów bywalskiej w mieście powiatowym Mławie, oddalonym od nas o 35 km. Mimo to jednak władze nie zareagowały, jak spodziewaliśmy się. Wciąż nie wiemy, czy to wypada, choć sołtys rozszalał na całą okolicę naszą wieś Straszew. Jego sława wyszła już dawno poza granice naszej gminy. Ziemie dotarła nawet do dworów bywalskiej w mieście powiatowym Mławie, oddalonym od nas o 35 km. Mimo to jednak władze nie zareagowały, jak spodziewaliśmy się. Wciąż nie wiemy, czy to wypada, choć sołtys rozszalał na całą okolicę naszą wieś Straszew. Jego sława wyszła już dawno poza granice naszej gminy. Ziemie dotarła nawet do dworów bywalskiej w mieście powiatowym Mławie, oddalonym od nas o 35 km. Mimo to jednak władze nie zareagowały, jak spodziewaliśmy się. Wciąż nie wiemy, czy to wypada, choć sołtys rozszalał na całą okolicę naszą wieś Straszew. Jego sława wyszła już dawno poza granice naszej gminy. Ziemie dotarła nawet do dworów bywalskiej w mieście powiatowym Mławie, oddalonym od nas o 35 km. Mimo to jednak władze nie zareagowały, jak spodziewaliśmy się. Wciąż nie wiemy, czy to wypada, choć sołtys rozszalał na całą okolicę naszą wieś Straszew. Jego sława wyszła już dawno poza granice naszej gminy. Ziemie dotarła nawet do dworów bywalskiej w mieście powiatowym Mławie, oddalonym od nas o 35 km. Mimo to jednak władze nie zareagowały, jak spodziewaliśmy się. Wciąż nie wiemy, czy to wypada, choć sołtys rozszalał na całą okolicę naszą wieś Straszew. Jego sława wyszła już dawno poza granice naszej gminy. Ziemie dotarła nawet do dworów bywalskiej w mieście powiatowym Mławie, oddalonym od nas o 35 km. Mimo to jednak władze nie zareagowały, jak spodziewaliśmy się. Wciąż nie wiemy, czy to wypada, choć sołtys rozszalał na całą okolicę naszą wieś Straszew. Jego sława wyszła już dawno poza granice naszej gminy. Ziemie dotarła nawet do dworów bywalskiej w mieście powiatowym Mławie, oddalonym od nas o 35 km. Mimo to jednak władze nie zareagowały, jak spodziewaliśmy się. Wciąż nie wiemy, czy to wypada, choć sołtys rozszalał na całą okolicę naszą wieś Straszew. Jego sława wyszła już dawno poza granice naszej gminy. Ziemie dotarła nawet do dworów bywalskiej w mieście powiatowym Mławie, oddalonym od nas o 35 km. Mimo to jednak władze nie zareagowały, jak spodziewaliśmy się. Wciąż nie wiemy, czy to wypada, choć sołtys rozszalał na całą okolicę naszą wieś Straszew. Jego sława wyszła już dawno poza granice naszej gminy. Ziemie dotarła nawet do dworów bywalskiej w mieście powiatowym Mławie, oddalonym od nas o 35 km. Mimo to jednak władze nie zareagowały, jak spodziewaliśmy się. Wciąż nie wiemy, czy to wypada, choć sołtys rozszalał na całą okolicę naszą wieś Straszew. Jego sława wyszła już dawno poza granice naszej gminy. Ziemie dotarła nawet do dworów bywalskiej w mieście powiatowym Mławie, oddalonym od nas o 35 km. Mimo to jednak władze nie zareagowały, jak spodziewaliśmy się. Wciąż nie wiemy, czy to wypada, choć sołtys rozszalał na całą okolicę naszą wieś Straszew. Jego sława wyszła już dawno poza granice naszej gminy. Ziemie dotarła nawet do dworów bywalskiej w mieście powiatowym Mławie, oddalonym od nas o 35 km. Mimo to jednak władze nie zareagowały, jak spodziewaliśmy się. Wciąż nie wiemy, czy to wypada, choć sołtys rozszalał na całą okolicę naszą wieś Straszew. Jego sława wyszła już dawno poza granice naszej gminy. Ziemie dotarła nawet do dworów bywalskiej w mieście powiatowym Mławie, oddalonym od nas o 35 km. Mimo to jednak władze nie zareagowały, jak spodziewaliśmy się. Wciąż nie wiemy, czy to wypada, choć sołtys rozszalał na całą okolicę naszą wieś Straszew. Jego sława wyszła już dawno poza granice naszej gminy. Ziemie dotarła nawet do dworów bywalskiej w mieście powiatowym Mławie, oddalonym od nas o 35 km. Mimo to jednak władze nie zareagowały, jak spodziewaliśmy się. Wciąż nie wiemy, czy to wypada, choć sołtys rozszalał na całą okolicę naszą wieś Straszew. Jego sława wyszła już dawno poza granice naszej gminy. Ziemie dotarła nawet do dworów bywalskiej w mieście powiatowym Mławie, oddalonym od nas o 35 km. Mimo to jednak władze nie zareagowały, jak spodziewaliśmy się. Wciąż nie wiemy, czy to wypada, choć sołtys rozszalał na całą okolicę naszą wieś Straszew. Jego sława wyszła już dawno poza granice naszej gminy. Ziemie dotarła nawet do dworów bywalskiej w mieście powiatowym Mławie, oddalonym od nas o 35 km. Mimo to jednak władze nie zareagowały, jak spodziewaliśmy się. Wciąż nie wiemy, czy to wypada, choć sołtys rozszalał na całą okolicę naszą wieś Straszew. Jego sława wyszła już dawno poza granice naszej gminy. Ziemie dotarła nawet do dworów bywalskiej w mieście powiatowym Mławie, oddalonym od nas o 35 km. Mimo to jednak władze nie zareagowały, jak spodziewaliśmy się. Wciąż nie wiemy, czy to wypada, choć sołtys rozszalał na całą okolicę naszą wieś Straszew. Jego sława wyszła już dawno poza granice naszej gminy. Ziemie dotarła nawet do dworów bywalskiej w mieście powiatowym Mławie, oddalonym od nas o 35 km. Mimo to jednak władze nie zareagowały, jak spodziewaliśmy się. Wciąż nie wiemy, czy to wypada, choć sołtys rozszalał na całą okolicę naszą wieś Straszew. Jego sława wyszła już dawno poza granice naszej gminy. Ziemie dotarła nawet do dworów bywalskiej w mieście powiatowym Mławie, oddalonym od nas o 35 km. Mimo to jednak władze nie zareagowały, jak spodziewaliśmy się. Wciąż nie wiemy, czy to wypada, choć sołtys rozszalał na całą okolicę naszą wieś Straszew. Jego sława wyszła już dawno poza granice naszej gminy. Ziemie dotarła nawet do dworów bywalskiej w mieście powiatowym Mławie, oddalonym od nas o 35 km. Mimo to jednak władze nie zareagowały, jak spodziewaliśmy się. Wciąż nie wiemy, czy to wypada, choć sołtys rozszalał na całą okolicę naszą wieś Straszew. Jego sława wyszła już dawno poza granice naszej gminy. Ziemie dotarła nawet do dworów bywalskiej w mieście powiatowym Mławie, oddalonym od nas o 35 km. Mimo to jednak władze nie zareagowały, jak spodziewaliśmy się. Wciąż nie wiemy, czy to wypada, choć sołtys rozszalał na całą okolicę naszą wieś Straszew. Jego sława wyszła już dawno poza granice naszej gminy. Ziemie dotarła nawet do dworów bywalskiej w mieście powiatowym Mławie, oddalonym od nas o 35 km. Mimo to jednak władze nie zareagowały, jak spodziewaliśmy się. Wciąż nie wiemy, czy to wypada, choć sołtys rozszalał na całą okolicę naszą wieś Straszew. Jego sława wyszła już dawno poza granice naszej gminy. Ziemie dotarła nawet do dworów bywalskiej w mieście powiatowym Mławie, oddalonym od nas o 35 km. Mimo to jednak władze nie zareagowały, jak spodziewaliśmy się. Wciąż nie wiemy, czy to wypada, choć sołtys rozszalał na całą okolicę naszą wieś Straszew. Jego sława wyszła już dawno poza granice naszej gminy. Ziemie dotarła nawet do dworów bywalskiej w mieście powiatowym Mławie, oddalonym od nas o 35 km. Mimo to jednak władze nie zareagowały, jak spodz